ZESZYT III. — KARNAWAŁOWY.



LUTY 1914 r.

Cena 75 kop.







Treść zeszytu III-go.

Rysunki i winiety: Br. Bartla, T. Mędreckiego i Kaz. Wasilkowskiego. Dotatek artystyczny: Antoni Kurzawa „Mazur". Okładka Antoniego Gawińskiego.

OKOŁO STU ILUSTRACJI W TEKŚCIE.

SAMOCHODY
WSZECHŚWIATOWEJ FIRMY „RENAULT“ (Billancourt-Seine)

JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO I SKŁAD FABRYCZNY
Warszawa, Jerozolimska № 49. Telefon № 253-31 i 107-00. Inż. S. Rotmill.

ARTYSTYCZNE WYROBY z ŻYWYCH KWIATÓW

Kosze, wiązanki, żardinjery, wieńce, dekoracje ślubne, balowe, mieszkań i kościołów wykonywa solidnie i terminowo
Zakład ogrodniczy BRONISŁAWY BŁAŻEWICZ Marszałkowska 112, tuż przy Chmielnej, **telef. 153-83.**



Żądajcie wszędzie napojów, jako to: wodę mineralną, wodę owocową, piwo, kefir, mleko, śmietankę i t. p. tylko w butelkach zaopatrzonych **hygjenicznym zatworem**

„IDEAŁ“

każdy sam otwiera butelkę, trzeba tylko oderwać pokrywkę **prosto na dół** w kierunku strzałki.

Najlepsza i najpewniejsza kontrola dla niesfałszowanej **zawartości** butelki, **gdyż otwieranie zatworu raz jeden tylko jest możliwe.**

Wyłączni właściciele patentu:

Tow. Akc. Fabryki Korków A. KRIEGSMANN w Rydze.

Firma egzystuje od 1843 roku.
Kapitał zakładowy 3,000,000 rb.

ODDZIAŁ WARSZAWSKI
Warszawa, Chłodna № 17. Telefonu № 122-55.

NA SKŁADZIE WARSZAWSKIM:
NAJDOSKONALSZE MASZYNY MOTOROWE, NOŻNE I RĘCZNE DO ZAMYKANIA ZATWORÓW **„IDEAŁ“.**

PIERWSZORZĘDNE BIURO REKOMENDACJI PRACY

„ZAŁĘSKI“

Warszawa, Włodzimierska 1.

Poleca: dział nauczycielski, rolny, przemysłowy, handlowy. Sprowadza cudzoziemki z własnych biur z za granicy.

CENNIK NASION
na rok 1914
rozsyłają bezpłatnie na każde żądanie

Bracia HOSER
W WARSZAWIE
Jerozolimska 59.

Własne plantacje w Rakowcu i Żbikowie.

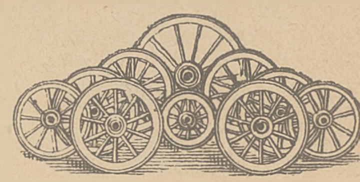
Hemogen Magistra Klawe

Najracjonalniejszy przetwór żelaza dla słaborozwiniętych, małokrwistych, osłabionych i rekonwalescentów.

Pierwsza w Kraju Specjalna Fabryka Kół i Wozów
H. WAGNER i S-ka
WARSZAWA-TARGÓWEK, Tel. 62-99.

Marka fabryczna.

ZARZĄD: Warszawa, Złota 23, Telef. 212-80. Koła do kowet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, **naciąganie NA ZIMNO** na maszynach hydraulicznych. **Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne. UWAGA:** Każde koło fabryki naszej jest zaopatrzone na piaście marką fabryczną.



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 rok.
Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

FABRYKA POWOZÓW JÓZEFA GOLIŃSKIEGO
W WARSZAWIE, ul. LESZNO Nr. 36. TELEFONU Nr. 40-10.
FIRMA ISTNIEJE OD 1867 ROKU. NAGRODZONA WIELOMA MEDALAMI.

ARTYSTYCZNE KWIATY WANDY SIWIŃSKIEJ
KRAK.-PRZEDMIEŚCIE № 61. TEL. № 76-78.
poleca: garnitury balowe, ślubne, do kapeluszy oraz dekoracyjne.

ROK III. WARSZAWA, DNIA 1 LUTEGO 1914 ROKU. ZESZYT III.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



Antoni Kurzawa. Ze zbiorów p. Artura Bardzkiego. Polonez.



Bronisław Bartel. Na tarasie w Łazienkach.

Na podzwonne maskaradom.

I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
Dziś mię posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy,
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maszkary..."

J. Słowacki: *„Jan Bielecki"*.


tarogreccy i starorzymscy aktorowie przywdziewali na całą twarz nieruchome maski dla tego, aby ich własne, zazwyczaj dobrze znane twarze, nie rozpraszały złudzenia, że się ma przed sobą postać wykoncypowaną przez autora wystawionej sztuki. Juści przeto, że maska, o której mowa, miała za zadanie *ukryć* wdziewającego ją osobnika... Ale — nie chodzi nam w tej chwili o maskę udającą tę lub ową twarz. Chodzi o maskę specyficznie dziś karnawałową, o mniej lub więcej szeroki pasek czarnej (a bywa, że i białej) materji jedwabnej, albo czarnego aksamitu, zwany po francusku *un loup*, z wycięciami na oczy, osłaniający tylko część twarzy, zazwyczaj zaś opatrzony u dołu koronkową falbanką, zakrywającą z lekka usta zamaskowanej damy.

Kto, gdzie i kiedy przywdział pierwszy taką maskę? Niewiadomo.

W szesnastem, siedemnastem i osiemnastem stuleciu przywdziewanie maski przez damy, wychodzące na ulicę, było rzeczą dość zwykłą. Dystyngowana dama nie ukazywała się wogóle w miejscu publicznem; nie było to w dobrym tonie; tedy wdziewała maskę, aby jej nie poznano. Cel też utylitarny przyświecał maskowaniu się np. różnego autoramentu spiskowców lub — uczciwszy uszy — bandytów.

Ale my i tego ukrywania się, wyraźnie: ukrywania się pod maską nie bierzmy w rachubę.

Karnawałowa maska nie... osłania, nie... ochrania, nie... ukrywa, jeno tylko — *wyprowadza w pole*. Początek wdziewaniu maski karnawałowej dały: psoty i figle. Mistyfikowanie bliźniego jest inklinacją wrodzoną naturze ludzkiej. Zwróćmy uwagę na dziecko. Jakież ono uszczęśliwione, gdy twarz zakrytą chusteczką odsłonimy nagle, wołając: „A kuku!" Dziecko nieposiada się z uciechy, że było pointrygowane. Dziecko też lubi pasjami — przebierać się. Któż z nas, dzieckiem będąc, nie przywdziewał „lśniącej zbroi" tekturowej, a któraż dziewczynka nie „przebierała się" za „krakowiankę", za „cygankę", a choćby tylko za... ciocię lub mamę?

Owóż, urządzane przez dorosłych t. zw. bale maskowe były i są niczem innem, jak tylko odruchowym — na chwilę — powrotem do niefrasobliwej, wysoce *simple* — dziecinady. Ot, popatrzę ja, popatrzysz ty, popatrzymy sobie, jak też wyglądać będziemy — w przebraniu! Trafi się kostjum „do twarzy" — tem lepiej! Co by to było, gdybym ja np. był... towarzyszem pancernym, ułanem napoleońskim, lub hiszpańskim grandem! A śliczna pani mecenasowa? Wykapana Marja Stuart! Nigdy zresztą człowiek nie jest zadowolony z doli i stanowiska, któremi opatrzyła go Opatrzność. Wyrazem tego nieukontentowania oraz aspiracji ku temu, czem by się *powinno* było być, jest... karnawałowe przebieranie się. Miło choć w zwierciadle (wychodząc na bal maskowy) ujrzeć siebie w kasztelańskim kontuszu, w kasku Lohengrina lub w spencerku Romea... Prawda?

Czemu to życie nie jest poematem! A tylko — balem maskowym!

Powtóre... Jakże drażniące i podniecające jest odgadywanie: kogo ukrywa kostjum fantazyjny lub

szeroko-fałdziste, kapiszonowe domino? Pędzimy na maskaradę: rozwiązywać zagadki. Sport — jak każdy inny! A nuż damy się „wziąć na kawał"... własnej kucharce? Hm... z tą anekdotyczną „własną kucharką" dano by raz przecie pokój, gdyż jak świat światem nic się podobnego nie zdarzyło. Ale zawsze!.. A nuż! Ba! O wiele łatwiej spotkać się z własną żoną na maskaradzie, lub na „reducie", jak dawniej mówiono. Jedno z drugiem: pikantna zabawa!

Pikantną i interesującą i wesołą — *była*. W ciągu dwuch stuleci, od początków XVIII-go aż prawie do końca XIX-go, bale maskowe bawiły, interesowały, podniecały, ściągały tłumy publiczności. Dziś już wyszły z mody, jako zabawa towarzyska — przestarzała. To znaczy, że urok straciły dla „wyższej" publiczności wielkomiejskiej: przebierania się oraz intrygowania pod maską.

Pozostał natomiast jeden jedyny powab, grający wogóle nie małą rolę w długotrwałości maskarad, mianowicie: swoboda w obcowaniu z zamaskowaną kobietą, choćby była nawet królową, albo i czemś niedostępniejszem jeszcze. Do kobiety w masce mówi się „ty" i mówi się jej — co się żywnie spodoba.

Gdy w najszaleńszych czasach bawiącej się Wenecji trwał karnawał od pierwszej niedzieli października do Bożego Narodzenia i od Trzech Króli do Popielca, aby rozpocząć się na nowo w dzień Wniebowstąpienia na tygodni kilka; gdy wenecka Rada Dziesięciu rozmyślnie, przez rok niemal cały, trzymała Wenecję w karnawałowem oszołomieniu, aby... nikt nie spostrzegał, iż Rzeczpospolita tonie dzięki o pomstę do nieba wołającemu rządowi, wówczas z chwilą przywdziania maski przez całą niemal ludność Wenecji, rozpoczynała się istna orgja pełnej, absolutnej „swobody" karnawałowej. W masce na twarzy wolno było wejść wszędzie, nawet za kratę klasztorną. Sam zresztą nuncjusz maską nie gardził... Plac św. Marka przez miesiące całe zatłoczony był jarmarcznemi budami; żadna żałoba narodowa, np. śmierć doży, nie przerywała karnawałowej swobody; „wrzawa, śmiech pusty" — wszędzie; ludzie dosłownie szaleją i nie wiedzą już, co począć, aby karnawałowy nastrój podbić wyżej jeszcze. Palą ognie sztuczne — w dzień biały!



Wacław Pająk. Pierot wersalski.
Tow. Z. S. P. Salon 1913.

Przywdzianie karnawałowego przebrania oraz maski dawało hasło — rozpasanemu hulaniu. To też w ostatnich czasach tlała jeszcze popularność maskarad jedynie już tylko dzięki nadziei podokazywania co się zowie w maskaradowym tłoku. Szło się na maskaradę wcale nie dla tego, aby bądź popisać się samemu jakimś „nadzwyczajnym" kostjumem lub dla popatrzenia na kostjumów wzorzystych mrowie, nie szło się też na maskaradę dla „intrygowania" lub dla służenia za cel „intrygom". Szło się poprostu dla pohulania z akuratnem „pozwalaniem sobie", na co, jak wiadomo, łakomi się znaczna większość niewybrednych osobników. A była niegdyś, była maskaradowa arena areną popisu dla wytwornego dowcipu, dla subtelnej szermierki iskrzącej się konwersacji, dla intrygi istotnie „passjonującej", przeprowadzonej z wirtouzowską zręcznością i wykwintną pomysłowością!.. Gdzie się te czasy podziały?

Królowa Marja Antonina wybiera się na redutę w przebraniu — piekarki. Dowiedziawszy się o tem zakochany w królowej imć pan Lameth pędzi na zabawę i „pod maską" pali publicznie królowej madrygał, którego *pointe'y* niemam odwagi przytoczyć, ale którego pierwsza strofka — jakże *rococo* stylowa! — brzmiała w ten sens:

Gentille boulangère,
Qui des dons de Cerès
Sais d'une main légère
Fabriquer les pains frais,
Des dons que tu nous livres
Doit-on se réjouir?
Si ta main nous fait vivre,
Tes yeux nous font mourir.



Natrętny błazen.



Bronisław Bartel. Flirt.

Inny obrazek. W Wiedniu, podczas wielkiego kongresu. W reducie listopadowej 1814-go roku w Burgu biorą udział wszyscy obecni w Wiedniu monarchowie, udzielni książęta, przedstawiciele międzynarodowej arystokracji. W przebraniu, pod maskami, „intrygując“ na potęgę. A cóż to było za pole dla „intryg“, np. politycznych — pod maską! To też jeden z pamiętnikarzów kongresowych, kawaler de la Garde, zaintrygowany przez dwa domina, co mu znikły w tłumie, szuka ich „jak szalony“ (dosłownie) i płoszy flirt karnawałowy księcia Cariati z hrabiną Zamoyską, przebraną za cygankę...

Jeszcze inne — wspomnienie. Na maskaradowej reducie w paryskiej Wielkiej Operze książę d'Artois — przyszły król Karol X — baraszkując w loży, zdziera maskę księżnej de Bourbon. Wysoka obraza! Zdemaskowanie niewiasty równa się wymierzeniu jej policzka! Tak chce kodeks maskaradowy. Książę d'Artois i mąż zdemaskowanej księżnej pojedynkują się...



Bruno Gęstwicki. Sal. Richlinga. Intryga.

W tej-że Operze paryskiej, co słynęła ze świetnych, a szalonych maskarad przez dwa stulecia. Drugie już oto Cesarstwo. W sali bezpośrednio przylegającej do wielkich schodów, po których płynie tłum przybywającej na maskaradę publiczności, gromadzi się „złota młodzież“, szpaler tworzą „lwy bulwarów“ i lustrują pilnie — osobliwie domina niewieście. Chodzi o to, aby bardziej interesującą maseczkę uszczknąć w lot a nie zwlekając na onym maskaradowym przesmyku... Wśród stałych bywalców redut operowych jest — naturalnie! — Roger de Beauvoir, jeden z najdowcipniejszych feljetonistów, wodewilistów i powieściopisarzów, o którym dziś świat oczywiście nie pamięta. Mija go eleganckie domino niewieście. Maska zerknęła i przechodząc mimo, rzuca drwiąco:

— *Bonne nuit, Roger!* Dobrej nocy!

De Beauvoir na kartce, wyrwanej z notatnika, kreśli natychmiast słów kilka, dogania „piękną nieznajomą“ i wciska jej w rączkę bilecik, z następującym czterowierszem:

Wrażliwą duszę los mi dał;
Pocóż mi tak po nerwach [grać?
Ach, pocóż życzyć, abym [miał
To, co mi sama możesz dać!

Wówczas już — za Drugiego Cesarstwa — najwykwintniejsza publiczność maskaradowa nie brała udziału w tańcach, wykonywanych na sali np. Wielkiej Opery przez tancerzy *ad hoc* — wynajmowanych. Dopiero nad





Zalecanki. Bronisław Bartel. Zdemaskowanie.

ranem, gdy ochota i zabawa dosięgły kulminacyjnego „punktu“, publiczność zaczynała sama hasać, a po lożach...

Dokończmy kropkami, niestety, nazbyt wymownemi jeszcze.

Wszystko to już atoli należy do historji. Maskaradowe reduty, *w dawnym, wielkim stylu* — zgasły. Czas ich przeminął. Ów zmierzch redutowych maskarad rozpoczął się już w latach ostatnich cesarzowania Napoleona III. Upadającą „instytucję“ (!) próbował zgalwanizować paryski dyrektor Wielkiej Opery, pomysłowy i rzutki Mira. On to pierwszy zaprawił reduty maskaradowe tak zwanemi „atrakcjami“; on to pierwszy wprowadził w modę różne widowiska farsowo-baletowe na scenie podczas maskaradowania na sali i we foyer; on to pierwszy okrasił maskaradę nowością pierwszej klasy, aktualną *revue* z „oddziałem kabaretowym“, jak się dziś mówi. On to zapowiedział ciągnienie podczas maskarady w Wielkiej Operze loterji, której najwyższą wygranę stanowić miała: piękna kobieta, *une jolie femme!* Bagatela! Cały Paryż runął na maskaradę. Rozlosowano — oczywiście — portret najpiękniejszej ówczesnej paryskiej artystki dramatycznej.



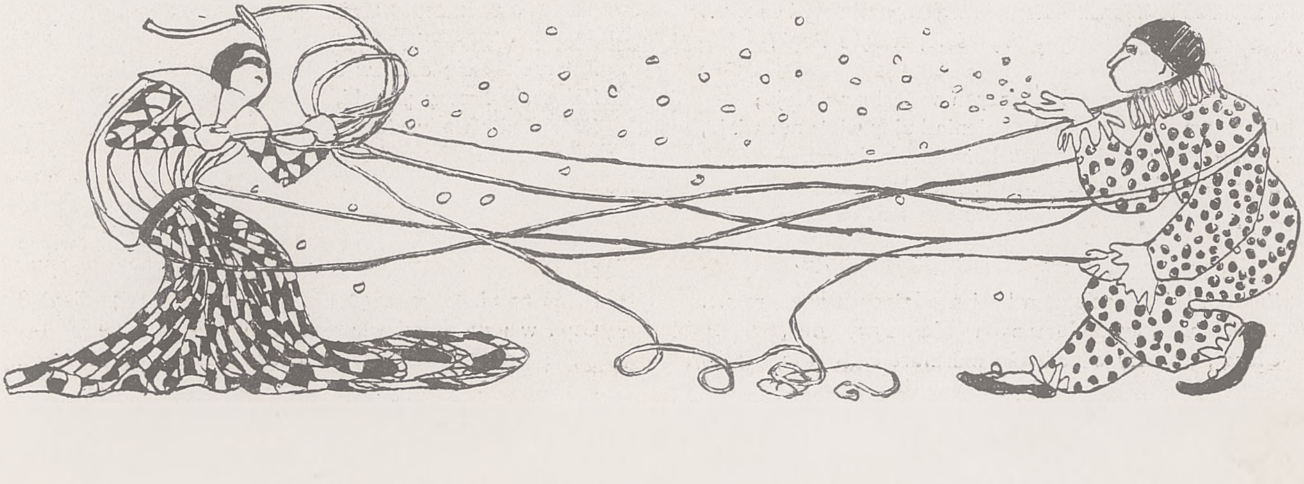
Pomogła-ż co wszelka pomysłowość? Nie, nie pomogła. Bo — nie mogło być inaczej.

Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia!

Maskarady przeżyły się ostatecznie. Czy dlatego, że ludzkość (bawiąca się!) ...spoważniała? Bynajmniej. Uległy tylko z biegiem czasu zmianie: *sposoby bawienia się.*

Jeżeliby zaś komu opłynęło serce żalem za niepowrotnem: „Znam ciebie, maseczko!“ to mu w zaufaniu powiem, że dziś tyle „niebywałych“ rzeczy mówi się wszędzie niewiastom, iż, doprawdy, możemy śmiało obejść się bez balów maskowych. Bardzo rozciągliwe i szerokie przepisy współczesnego *savoir-vivre'u* zbytecznem czynią poszukiwanie okazji dla rozkoszowania się „swobodą“ towarzyską. Aż do niczem niezmąconego *tête-à-tête* i restauracyjnej „kolacyjki“ włącznie.

Czesław Jankowski.





MOTTO.

Usidliły bal królewski zamkowe zwierciadła:
Pląsających odbić rzesza w szklaną baśń zapadła
I już wiecznie krążyć będzie wśród zaklętych sal,
W coraz cichszą, w coraz bledszą, w coraz dalszą dal...
Wspomnienia wian je wiąże.

Jedno tylko umknie czaru, zerwie sideł szarfy,
Zmyli skrzypki rozełkane, srebnostrunne harfy,
Jedno tylko wzwyż odleci ponad złudy dwie,
Wzajem siebie wracające w zwierciadlanym śnie:
Rycerskiej pieśni książe.

Czarna maska na obliczu, pod nią usta płomień:
To książęcy bal roztacza tęcze oszołomień.
Odbijają par girlandy zwierciadlane tła,
Jakby żmija tęczołuska w nieskończoność szła.
Za oknem szumią drzewa.

Płyną pazie i pasterki, damy i markizy,
Drżą wachlarze, świecą szpady, śnieżą białe kryzy;
Płyną barwne korowody rozpląsanych widm
Pod muzyki pętającej, czarodziejski rytm.
Listowie wiatr rozwiewa.

Złote wino z czar się leje, dłoń się z dłonią wiąże.
Omyliło krąg taneczny czarnookie książę.
Omyliło, wychynęło z wieńca białych rąk,
Szeptów słodkich, kwiatów wonnych, warkoczy i wstąg...
Tyżeś to, Książe Pepi?

Zeszedł książe z sal jarzących w jesienne aleje;
Ciemnym płaszczem od ramienia bujny wiatr mu wieje,
A pod stopy liście lecą z konających drzew, —
Lecą wolno, niewstrzymanie, jako łzy i krew,
Jak krwawa łza, co ślepi.

Gdzie na stawie świeci wyspa ze starym teatrem,
Zaszedł książe, szlakiem liści spadających z wiatrem...
Wśród posągów zadumanych jeden żywy widz,
Stanął, wsparty o podnoże marmurowych lwic,
I patrzy w duszę własną.

Duma książe. Lecą chmury poprzeż księżyc blady;
Cień rzucają w tonie stawu greckie kolumnady.
Czyż nie w nim to, w nim to samym walczą moce dwie:
Owe cienie przechodzące i ów blask na dnie?
Jak sen mu lśnią, to gasną.

Jakiż płomień buchnął nagle u świątyni proga?
Jakiż dym się mgłą rozesnuł z greckiego trójnoga?
Jakaż Pani wstala cicha w szumie mrących drzew,
Z bladą gwiazdą, blaskiem siewną poprzez wdowi kwef?
O duszo ma! o siostro!

Płyną chmury, tętnią chmury po niebieskim sklepie,
Jak ogromne hufce zbrojne we śniegach, na stepie...
Czasem księżyc je prześwietli tęczą nagłych kras,
Czasem wicher je rozszumi, jak proporców las.
Kiedyż się w Moc rozpostrą!?

Idą w wieczność szeregami, jedne za drugiemi:
Święty Boże! Święty mocny! zmiłuj się nad niemi!
Mroczą srebrną twarz miesiąca ciemną grozą swą,
Przepływają szeregami i bez skargi mrą.
A księżyc patrzy — wieczny.

Skąd ten Tryton marmurowy wody stawu kłębi?
Zali centaur zmartwychwstały z przeszłych wieków głębi?
Skąd ten rycerz konający? Skąd ten biały koń?
Czyj to szyszak pochylony? Czyja blada skroń?
Czyj laur i zgon waleczny?

Zatargałały się osiki w śmiertelnym powiewie!
Zajęczały brzozy płaczki, załkały modrzewie!
Zadzwoniły wody stawu w pogrzebowy dzwon,
Jako harfy zadzwoniły na witezia zgon!
To serce Polski płacze.

Chór wciąż rośnie, olbrzymieje, — ziemię z niebem wiąże
Na teatrum nocy wieszczej, w którą patrzy książe.
Pieśń na niego zewsząd płynie. — Skądże ona? Gdzie?
Czyli w jego piersi własnej, czyli Bóg go zwie
Na ścieże walk tułacze?

. . . .

Gnie się książe, do ziem chyli, kornie kaja w prochu.
Jakby słuchał w łonie ziemi własnej piersi szlochu.
Powstał wreszcie. Spłonął świtem. Ręce podniósł wzwyż!
Żądnie podniósł — jak po skrzydła, kornie — jak po krzyż.
Ślubuje w wieków progu:

. . . .

„Póki ciało nie opadnie, jak sztandar dziurawy,
Jako sztandar, rozpostarty w święte imię Sprawy!
Aż się stanie życie moje, i miłość, i ból!
Ponad Polską, jako sztandar podarty od kul“!
„A cześć — zdam tylko — Bogu“.

. . . .

Rozgorzały jutrznią krwawą głębokoście nieba.
Druga jutrznia u stóp księcia w stawie się koleba...
A on stoi, porzucony między głębie dwie,
We krwie stoi, — ptak rycerski, co się w słońce rwie,
Do walki, znoju, chwały!

. . . .

I odbiła wierna woda obraz bohatera:
Z wieszczej toni otchłań jutra w oczy mu spoziera.
Nad nim chmura, skrzydło śnieżne na pożodze stref,
A przez każdą ranę w chmurze płynie słońca krew.

. . . .

Ofiarny — duchu — biały —

. . . .

Bronisława Ostrowska.

KULIG.

Wszystko w naszej przeszłości było — raczej *jest,* bo przeszłość nasza żyje i my nią żyjemy — ogromne i nadzwyczaj barwne. Nic nie czyniliśmy połowicznie. Pierwsi do bitwy i sejmowania, pierwsi też byliśmy do zabawy i hulanki. A gdy przyszła kolej na modlitwę, tośmy legali krzyżem na kamiennej posadzce kościoła, chłostaliśmy nagie ciało rzemieniem, jak średniowieczni biczownicy, albo, zawarłszy się w celi klasztornej „na dewocji“, spędzaliśmy miesiące i lata wśród pacierzy i postów surowych.

Jednocześnie przedostawała się do nas ze Wschodu oślepiająca barwność wszystkich zewnętrznych form życia potocznego, obrzędowego i publicznego. Sądzić o niej z dzisiejszej szarzyzny i wązkim strumyczkiem sączącego się bytu, byłoby toż samo, co wyobrażać sobie rumianym i krzepkim człowieka, który po strasznym upływie krwi spoczywa obłożnie chory i ledwie poruszać się może...

Dziwiono się Michel-Angelowej gigantyczności i Tycjanowemu przepychowi kolorytu w kreacjach malarskich Matejki i poetyckich Słowackiego; pytano: skąd one się wzięły pod niebem północnem, wśród ludzi Północy? pomawiano gienjalnych twórców o fałsz etnograficzny, o egzotyzm... Dość odtworzyć sobie, jeśli nie intuicją artystyczną, to studjami historycznemi wczorajszą, aż po koniec wieku XVIII, dziejów naszych dobę, aby ocenić płonność tego zdziwienia, jałowość tych zarzutów.

Prawda, w poezji Mickiewicza orjentalizmu kolorystycznego niema. Jest wszędzie koloryt soczysty, bogaty, ciepły — nigdzie jednak natężenie barw nie dochodzi do krzykliwości, do szału, do temperatury pieca hutniczego, czem wprost oślepiają niektóre płótna Matejki oraz wiele poematów i tragedji Słowackiego. Skąd to poszło? Oto twórczość Mickiewicza, poza dwiema wycieczkami w odleglejsze czasy Litwy w „Grażynie“ i „Konradzie Wallenrodzie“, zamknęła się w okresie dziejów porozbiorowych, przeważnie współczesnych poecie. Wpływy Wschodu, wogóle słabo do tej dzielnicy dochodzące, w owym okresie kładły się już tylko ostatnimi dogasającej zorzy blaskami na konturach nielicznej starego autoramentu szlachty oraz na rabatach ułańskich.

Do najbarwniejszych i najhałaśliwszych przejawów zbiorowego życia naszych praojców należał — kulig.



K. Wierusz-Kowalski. Panienki.

Dwa określenia dać można tej rdzennie polskiej, gdzieindziej nieznanej i do pojęcia trudnej, zabawie. Przyrównać ją można: z pewnych względów do lawiny, z innych do pospolitego ruszenia.

Nakształt lawiny formowała się i toczyła kuligowa zawierucha. Pospolitemu ruszeniu stawała się podobną przez uruchomienie i powołanie pod jeden sztandar całego zwykle powiatu.

Rzecz zaczynała się skromnie.

W mięsopusty (po dzisiejszemu: w czasie karnawału) gdy mróz tęgi chwycił i mocno już trzymał, a pola, łąki i gościńce wdziały na się biały kożuch śniegu, do dworu któregoś z mniej zamożnych posesjonatów, gdzie nie było dostatku ale były panny urodziwe i gospodarz gościnny a „kordjalny“, przyjeżdżało saniami panów braci kilku, z własną najczęściej kapelą, cygańską albo żydowską.

Zjedzono co było do zjedzenia, osuszono rzetelnie piwniczkę, wyhasano się do siódmego potu, przespano wreszcie pokotem w izbie gościnnej, a nazajutrz: hajda! do następnego dworu, gdzie były izby obszerniejsze oraz większa jedzenia i trunku obfitość. Do sań panów braci przyłączały się nowe sanie, w których zajęli miejsca: gospodarz, „magnifika“ i nadobne córy.

W tym drugim dworze powtarzało się to samo. Przenoszono się następnie tymże trybem do trzeciego, czwartego i dalszych dworów, i jak grudka śniegu, która staczając się po zboczu góry staje się wreszcie potężną bryłą, tak kulig zmieniał się stopniowo w ogromny hufiec obojga płci wesołków, który przygrywając, śpiewając, pokrzykując, z brzękiem dzwonków, strzelaniem z rusznic, prychaniem galopujących koni, spadał wreszcie istną lawiną na wielki dwór czy pałac powiatowego magnata.

Porządek, w którym miano dwory wybrane nawiedzać, zawczasu był ułożony. Nie chciano nikogo narażać na kłopot niespodzianym najazdem. Przybycie gości było zapowiadane nadesłaniem symbolicznego berła z kulą u wierzchołka.

Od tej *kuli* Gołębiowski wyprowadza wyraz *kulig,* dawniej pisany często: *kulik.* Innego zdania jest Linde, dopatrujący się podobieństwa między tym wyrazem źródłowo polskim a słowem rosyjskiem *kulikat',* które znaczy: pić na umór, hulać bez pamięci.

I wyraz i obyczaj są w Polsce bardzo stare. Niemal w przysłowie przeszedł dwuwiersz z jakiejś dawnej komedji: ,,Kulig to zabawa jeszcze od Popiela; ma za cel, by każdemu zalała gardziela“. Niewątpliwie z czasów saskich pochodzi to określenie.

Z kuligiem łączyły się zwykle maskarady i inne krotochwile. Taki kulig, ale z rozwiązaniem nie krotochwilnem lecz tragicznem, wprowadził do swej „Marji“ Antoni Mal-



Marjan Puffke. Sal. „Sztuka“. Zakochani.



Kulig w Willanowie w r. 1821. Litografja ze zbiorów Wiktora Gomulickiego.

czewski. Był to jednak tylko wymysł romantyczny poety, w życiu dworów polskich najzupełniej niemożliwy.

Kuligi z maskami urządzano tylko w „ostatki“, to jest w ostatnie dni zapust. Narodziły się one zapewne za czasów Bony — choć do przebierania się miano u nas pociąg jeszcze w okresie Piastowskim.

Przybycie kuligowych „maszkar“ zapowiadał arlekin, który wpadając do dworu w podskokach, wołał: „Hej! kulig, kulig, kulig!“

Niekiedy, bez przedniej zapowiedzi, wdzierała się do izby gościnnej czereda rozochoconych masek, krzycząc przeraźliwie:

— Edżgi! dżga! — ha! ha! ha!

Kobiety przebierały się najczęściej za cyganki, żydówki oraz polskie, litewskie lub ukraińskie wieśniaczki. Mężczyźni występowali prawie wyłącznie w roli: cyganów, żydów, węgrów-olejkarzy, wieśniaków i dziadów.

W jednem miejscu ucztowano czasem tylko noc jedną; czasem kilka dni, nawet tydzień cały. Zależało to od obfitości znalezionych zapasów, i przypominało przeloty szarańczy.

Dwór po każdym najeździe kuligowym był na długi czas ogłodzony. Przed iście Gargantuowym apetytem i Sanczo-Pansowem pragnieniem panów braci nic ukryć nie było można. Obyczaj wymagał żeby gościom, zaraz przy powitaniu, gospodarz wręczał klucze od piwnicy, a gospodyni od spiżarki i kredensu. Równało się to oddaniu kluczów od bram miejskich zwycięzkiemu przeciwnikowi...

Kulig był przeważnie i przedewszystkiem zabawą wiejską. Jako potrzebujący dużo dla siebie miejsca mógł rozwijać się swobodnie tylko na przestrzeni kilkomilowej. Jednak urządzano go niekiedy w mieście — rozumie się w mieście wielkiem, w stolicy.

Pamięć świetnego warszawskiego kuligu pozostawił w swych zapiskach sekretarz królowej Marysieńki, francuz Clermont. Odbył się ów kulig w styczniu 1695 roku i nosił wyraźne swej epoki znamię. Tradycja staropolskiej tężyzny walczyła w nim z nalotami francuzkimi i z panoszącym się już w całej Polsce barokiem.

Szkoda, że prócz opisu nie otrzymaliśmy od współczesnych — choćby w rysunku lub sztychu — plastycznego tej wspaniałej zabawy wizerunku. Dopiero za dni naszych to wdzięczne zadanie podjął i z niemałem powodzeniem wypełnił Józef Brandt w powszechnie znanym obrazie.

Sto kilkanaście sań, najdobrańszem towarzystwem zapełnionych, brało udział w owym, historycznym poniekąd kuligu. Wyruszono o godzinie dru-

giej z południa z pałacu Daniłowiczów (na dzisiejszej ulicy Daniłowiczowskiej, gdzie dom „pod Królami"). Sygnał wyjazdu dały trąby. Zaraz potem zagrzmiały kapele, których było dziesięć, każda inna i każda na innych umieszczona saniach. Wśród muzykantów byli: polacy, francuzi, węgrzy, włosi, cyganie, żydzi; wśród narzędzi muzycznych znalazło się wszystko niemal, co wymyślił Zachód i Wschód Europy. Nie brakło nawet: cymbałów i teorbanu.

Uczestnikami zabawy byli najpierwsi magnaci koronni i litewscy — łatwo stąd domyśleć się, jaki przepych panował w strojach, w przybraniu sań, w końskiej uprzęży. Każde sanie ciągnęła trójka koni, zaprzężonych „w szydło", to znaczy: jeden za drugim; każdy koń miał przy łbie pęki piór i wstąg barwnych, na sobie siatkę złotonitną. Na saniach na tych co w nich siedzieli, mieniły się tęczowymi kolorami: aksamity, jedwabie, złoto, srebro i drogie kamienie.



Stary dwór na Wołyniu. (Fot. am. p. Wielhorskiego).

Ostatnie sanie miały kształt olbrzymiego, ulatującego w powietrze Pegaza. Skrzydlatego rumaka dosiadało ośmiu młodzieńców, którzy rozrzucali pomiędzy tłum okolicznościowe, na luźnych kartach drukowane wiersze. Przygotowali te ucinki dwaj nadworni rymopisowie króla Jana: Chrościński i Ustrzycki. Była to fałszywie sentymentalna nuta, najzupełniej w stylu epoki.

Otwierali cały orszak tatarzy królewicza Jakóba; zamykali — drabanci.

Tłum zatrzymywał się kolejno przy dworach: Sapiehów, księżny Radziwiłłowej, wojewody Potockiego, księcia Lubomirskiego, wreszcie u kasztelana lubelskiego i w pałacu Ujazdowskim. Wszędzie zatrzymywano sią na krótko, dla przetańczenia kilku tańców i wypicia kilku „pełnych". Ale to były tylko stacje pośrednie. Celem głównym był—Ujazdów.

Do siedziby królewskiej biesiadnicy dotarli już o zmierzchu. Zastali pałac jarzącem światłem zalany i na przyjęcie gości gotowy. Tu dopiero zabawa i wesołość zawrzały całą pełnią.

W wieku XVIII, jak wszystko w Polsce tak i kuligi — popsuły się i znikczemniały. Kitowicz mówi o nich nie tylko bez zachwytu, lecz z wyraźną niechęcią i wzgardą. „Dwóch lub trzech sąsiadów — są jego słowa — zmówili się ze sobą, i wpakowawszy się na sanki... jechali do sąsiada najbliższego ani proszeni od niego, ani przestrzegłszy go, żeby się im nie skrył. Zaskoczywszy go, rozkazywali dawać sobie jeść, pić koniom i ludziom, bez wszelkiej ceremonji, właśnie jak żołnierze na egzekucji. Potem... brali onego nieboraka z sobą, z całą jego familją i ciągnęli do innego sąsiada... Takowe kuligi... najwięcej się bawiły pijatyką i obżarstwem..."

W poezji polskiej kulig, jako zabawa narodowa, znalazł kilka mocnych, barwnych odbić. Do najcelniejszych należą te, które dali: Malczewski w „Marji", Słowacki w samoistnym wierszu lirycznym.

Któż nie zna poetycznego, pełnego ruchu i koloru, malowidła Malczewskiego? Komuż nie brzmi dotąd w uszach i sercu dźwięczny, posuwisty, brzękadłami janczarskiemi rozdzwoniony wiersz:

...Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty—
Czy znasz ty polskie zapusty?

Jakim fantastycznym, pstrym, migotliwym, tęczowo mieniącym się wężem rozwija się w poemacie pochód masek - zbrodniarzy, masek - skrytobójców! „Grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać poczęły wszystkie larwy, a nogami pląsać i łączyć obce stroje, papierowe czoła, wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła; i farby, blaski, cienie rozwijać w polocie, i skoczno, zwinno, huczno rzucać się w obrocie..."

Na inną, tragiczniejszą jeszcze może, lecz owiele szlachetniejszą, nutę nastrojony jest „Kulig" Słowackiego. O zabawie, tańcu, hulance mowy w nim niema. „Janczary" z koni zdjęte; nawet przy dyszlu dzwonka niema. Nikt tu nie śpiewa, nie krzyczy, nie śmieje się głośno...

...Nie trzaskaj z bicza — niechaj śpi licho!
Szybko po drodze, tak jak upiory,
Śmigamy szybko — cicho — i cicho...

Niech sanki świszczą
Jak błyskawica!
Wokrąg księżyca
Złote mgły koło;
Kagańce błyszczą...
Ha, ha, ha! — jak nam wesoło!
. . . .
Noc rozwidniała —
Zagrzmiały działa...
Oto jest kulig polaka!

Pod wierszem data: 1831.

Przywdziewają i dziś kontusze i przypasują karabele: aktorzy do teatru, posłowie na występy sejmowe, rozbawiona młodzież na maskowe bale — nic dziwnego, że tu i owdzie, ludziom z płomienniejszą fantazją przychodzi ochota wskrzeszać kuligi. Niestety! w ostatnich tyleż właśnie, co w pierwszych, staropolskiego animuszu, tężyzny i rycerskości. Przygasły i zszarzały barwy życia wogóle — nie rozkwieci się, żywym płomieniem nie strzeli i zabawa.



Podanie mówi o fantastycznym kuligu, który w początkach zeszłego stulecia wyprawił swym gościom książę Józef Poniatowski. Zabawa odbyła się w Jabłonnie, w noc... lipcową. W chwili gdy wesołe towarzystwo po sutej wieczerzy spożywało lody i inne chłodniki, przed pałac, z dzwonieniem przeraźliwem, zajechały liczne sanie, a gospodarz zaprosił damy i ich towarzyszów na przejażdżkę po... śniegu. Za żart to przyjęto, lecz biesiadnicy, wyszedłszy na ganek, ujrzeli z podziwem, że na wszystkich drogach iskrzy się biała, gładka powłoka. Zamiast śniegu, książę użył soli czy też cukru.

Ostatnim warszawskim obrzędowym kuligiem był ten, który niesyta zabaw karnawałowych młodzież warszawska urządzała corocznie w środę popielcową. Długim łańcuchem sań wyłożonych dywanami, zaprzężonych w cztery, sześć lub osiem koni, z pocztyljonami na nich, wytrębującymi wesołe sygnały, udawano się do Willanowa — nie do pałacu, lecz do wielkiej, w jadło i trunki zasobnej „oberży": Bawiono się tam ochoczo, lecz w stylu... którego charakterystykę podał Kitowicz.

Jeden z takich kuligów „popielcowych", w roku 1821 odprawionych, utrwalił w rzadkiej dziś litografji biorący w nim udział zdolny rysownik i akwarelista Jakób Sokołowski. *)

Wiktor Gomulicki.

*) Podajemy na str. 9-ej podobiznę tej litografji ze zbiorów autora.

Idę przez białą, śnieżną, bajkową aleję...

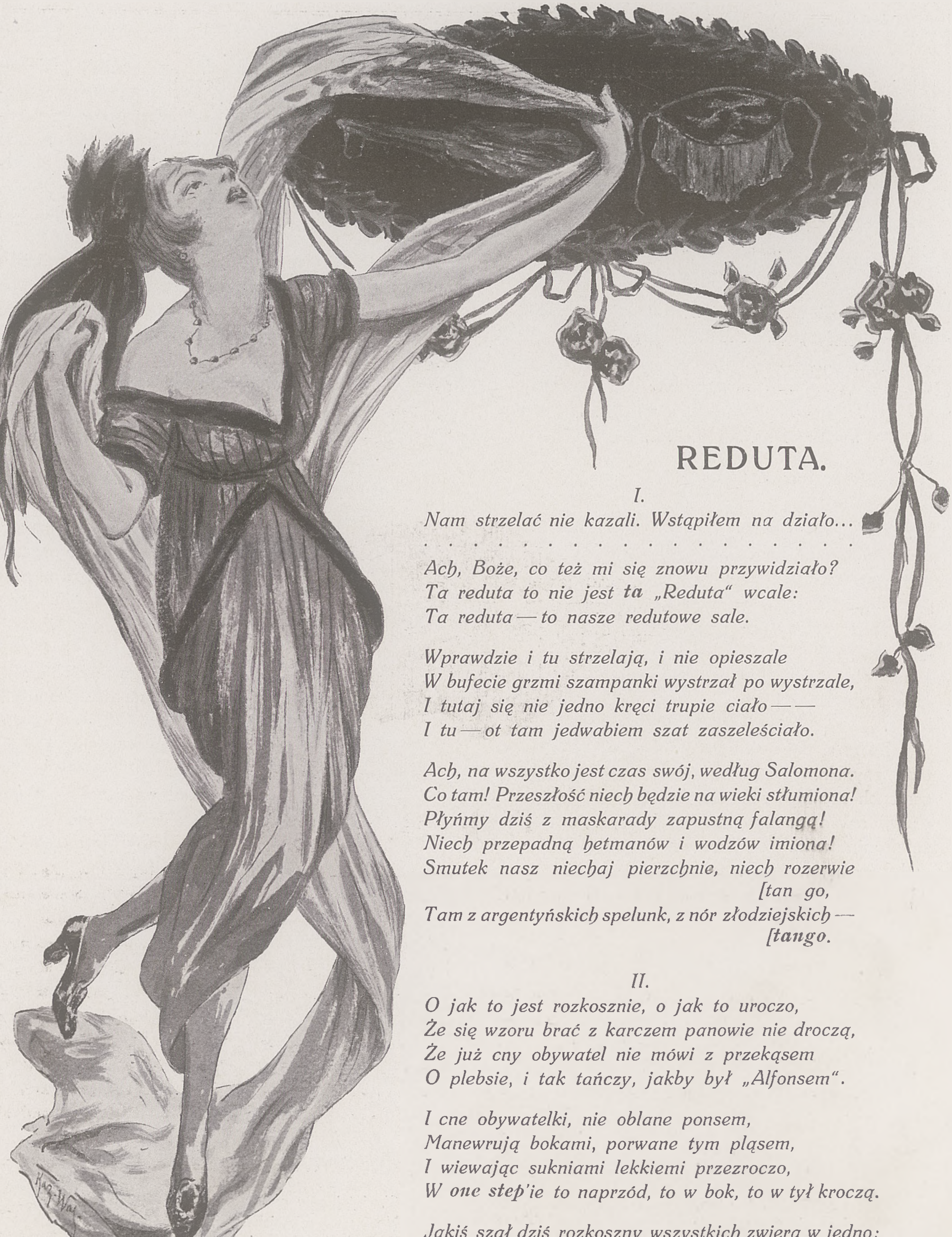
Idę przez białą, śnieżną, bajkową aleję,
Wiodącą do teremów purpurowych zorzy,
Umęczony obłędem zawianych bezdroży,
Patrząc, jak słońce krwawo na śniegu się śmieje...

Rzeźwe, mroźne powietrze zimno mnie upaja,
Niby srebrna, chrzęszcząca fritjofowa saga...
Szkarłat teremów zorzy w oddali się wzmaga..
Oszałamia mnie śmiechu słońca *scienza gaya*...

Choć tajemny gród zorzy wabi, lśni rubinem,
Idę w zadumie, jak ktoś, kto na nic nie czeka,
I przed nim droga jeszcze ściele się daleka...
I wiem, że to, co ujrzę, w milczenie spowinę...

Idę sennie... Alei ciche, białe drzewa
Strząsają na mnie zimne, bajkowe opuchy...
Pod stopą poskrzypuje rytmicznie śnieg suchy...
W duszy mej coś marzennie, cicho, biało śpiewa...

Wacław Wolski.



REDUTA.

I.

Nam strzelać nie kazali. Wstąpiłem na działo...
. . . . .

Ach, Boże, co też mi się znowu przywidziało?
Ta reduta to nie jest **ta** *„Reduta“ wcale:*
Ta reduta — to nasze redutowe sale.

Wprawdzie i tu strzelają, i nie opieszale
W bufecie grzmi szampanki wystrzał po wystrzale,
I tutaj się nie jedno kręci trupie ciało — —
I tu — ot tam jedwabiem szat zaszeleściało.

Ach, na wszystko jest czas swój, według Salomona.
Co tam! Przeszłość niech będzie na wieki stłumiona!
Płyńmy dziś z maskarady zapustną falangą!
Niech przepadną hetmanów i wodzów imiona!
Smutek nasz niechaj pierzchnie, niech rozerwie
[tan go,
Tam z argentyńskich spelunk, z nór złodziejskich —
*[***tango.**

II.

O jak to jest rozkosznie, o jak to uroczo,
Że się wzoru brać z karczem panowie nie droczą,
Że już cny obywatel nie mówi z przekąsem
O plebsie, i tak tańczy, jakby był „Alfonsem“.

I cne obywatelki, nie oblane ponsem,
Manewrują bokami, porwane tym pląsem,
I wiewając sukniami lekkiemi przezroczo,
W **one step***'ie to naprzód, to w bok, to w tył kroczą.*

Jakiś szał dziś rozkoszny wszystkich zwiera w jedno:
Bogactwa szczyt **highe life***'ów ze spelunką biedną.*
To mi raj! Nowe ludziom dał dziś ktoś statuta,
Wobec których dawniejsze ideały bledną.
Czyjaś nas niewidzialna łączy w rytm batuta.
Niech żyje nam dziś wzięta przez **tango** *reduta!*

III.

Precz z dusz gorycze! Precz z serc piołuny!
Lamp elektrycznych goreją łuny.
Barw jedwabistych snują się fale.
Oczy dam z masek patrzą zuchwale.

Na panach białe gorsów całuny.
Lamp elektrycznych lśnią na nich łuny.
Raz w raz w pijanym, bachanckim szale
Para się w **tango** *wije przez salę.*

Oboje tacy strojni, szykowni,
Tan z argentyńskiej tańczą szynkowni,
Jak gdyby byli rodem oboje
Z kraju, gdzie żyją dzicy **cow-boy**'*e.*
Jak gdyby z tamtąd szał, gwałt, rozboje
Na redutowych sal wrzał widowni.

IV.

O nic, a o nic nie dbam dziś wcale:
Urocza ze mną tanguje Ziutka,
Cała się do mnie tuli bliziutka,
Cały się spajam i ja z nią w szale.

Jam jest jak fala, ona jak łódka,
To znów się ona przemienia w falę,
Ja w łódź, i nurt jej trącam zuchwale,
Aż się do głębin wzburzy calutka.

Dziki rytm jakiś wtórzy tańcowi:
Rytm z tańcem — bracia (nie różańcowi):
Jakieś podźwięki brzmią w nim zbrodnicze,
Jakieś w nim płaczą domowe znicze,
Któreśmy żądz tchem pozagaszali;
Jakiś stracony raj w nim się żali...

Jan Lemański.



TAŃCE POLSKIE.

Iść do kościoła, gdzie nabożnie grają,
Nie z wielkim gustem damy się schadzają,
Ale na taniec są łatwego ducha,
Urwałaby się druga i z łańcucha.

(*Wiersz z w. XVI*).

„Żaden może naród nie ma tak pełnych myśli i poezji tańców, co nasz; bo też w nasze tańce wpłynęły wszystkie ich pierwiastki i kolisto je wytoczyły.

Używanie onych do obrządków religijnych dawnych Słowian w *Bożych stadach*, przy świętach *Łady, Kupały*, którego pierwiastku religijnego gromadne procesje, pielgrzymki i obrzędy naszego kościoła nie zatarły wcale; dużo pierwiastku wojennego; stosunki płci swobodne, ale pełne wzajemnego poszanowania i powagi, miłość żywa, prawdziwa, z duchową przewagą; wszystko to bezpośrednio i w harmonijnej proporcji wpłynęło do naszych tańców i wyrobiło je tak liczne, pełne powabu, znaczenia i poezji".

Tak wymownie i kwieciście charakteryzował przed pół wiekiem tańce nasze Karol Czerniawski, autor książki „O tańcach narodowych" (Warszawa, 1860). Dziś, gdy po miastach polskich zabawy taneczne coraz mniej udzielają miejsca tańcom swojskim, gdy mazura i oberka zatańczyć jak się patrzy mało kto już potrafi, a polonez zepchnięty został do parzystego włóczenia się po sali balowej w drodze na kolację, gdy zresztą kosmopolityczny frak sam przez się uczynił ten rycersko-dworski taniec karykaturą — warto cofnąć się myślą wstecz i przesunąć przed nią w historycznym korowodzie tańców naszych postacie i dzieje.

Od najdawniejszych czasów kwitło u ludów rdzennie słowiańskich namiętne zamiłowanie do tańca. Więc i u naszych praszczurów pląsy w wielkiem były użyciu. Już Długosz i Bielski wspominają o tańcach na dworze Popiela II, mających odmienny charakter niż słowiańskie obrzędowe, czyli o tańcach-zabawie, z wyłączeniem pierwiastku religijnego. Dzień koronacji Kazimierza Wielkiego w ro-

ku 1333, podobnie jak następne, przepędzono na tańcach, a królewska małżonka, Anna „tak się kochała w tańcach, iż gdziekolwiek jechała, zawsze koło siebie gromady taneczników nosiła“ (Stryjkowski). Gdy Dobiesław z Kurozwęk, kasztelan krakowski, nie dozwolił Wilhelmowi, księciu Austrji, odwiedzać w zamku krakowskim niezamężnej jeszcze Jadwigi, młoda królewna, często z drużyną swoich dworzan i panien służebnych, schodząc do klasztoru św. Franciszka, w refektarzu zabawiała się z Wilhelmem tańcami, skromnie jednak — dodaje Długosz — i z największą przyzwoitością. Nie stronili wówczas od tańców nawet niemieccy dygnitarze kościelni, np. arcybiskup magdeburski od zamiłowania w tańcu przezwany został „Skoczkiem“ [1]). Potrzebny do pląsów strój kusy i różnobarwny nadał biskupowi warmińskiemu Janowi przydomek „Pstrokaty“ [2]). Ustawy synodalne z czasów Władysława Jagiełły wzbraniają duchownym „dowodzić tańcami“ [3]). Olbracht i Zygmunt August lubili tańce; nawet Stefan Batory na weselu swojem trochę tańcował [4]).



Za następnych panowań, zwłaszcza przy królowach-francuzkach, Marji Ludwice i Marji Kazimierze tańce na dworze w wielkiem były użyciu, a w jeszcze większem za Sasów [5]).

Cechą zasadniczą tańców w Polsce od niepamiętnych czasów była *gromadność* i udział w nich obu płci, co wskazuje znamiennie na społeczną i towarzyską rolę kobiety u nas. Prof. Brückner pisze, iż „Niemiec pierwotnie znał chyba igrzyska mieczowe, ale pląsy obu płci lub samych dziewcząt dopiero u Słowian musiał zobaczyć i dlatego słowiańską nazwę „taniec“ do niemieckiego języka wprowadził“.

Wyjąwszy posuwistego, pełnego powagi i dworskości poloneza, tańce polskie cechowała zawsze żywość, skoczność i zamaszystość, jakie przechowały się najdobitniej w mazurze, krakowiaku i oberku. Widzimy te cechy już w tańcach w. XVI, później z użycia wyszłych: do takich należał „cenar“ lub „cynar“ z niemieckiego Zeuner, a pierwotnie Cyganer, taniec cygański, pełen ruchu i życia, podobny do „gonionego“, przez Reja, Kochanowskiego, Wereszczyńskiego i innych nieraz wspominany [6]).

[1]) Encykl. Staropolska Z. Glogera, tom IV.
[2]) i [3]) Ibid.
[4]) Pamięt. Niemcewicza, tom II.
[5]) Łukasz Gołębiowski: Gry i zabawy.
[6]) Encykl. Staropolska Z. Glogera.

Były w użyciu wtedy tańce inne jeszcze z nazwami cudzoziemskiemi, jak Rej i Firlej, które dały początek nazwiskom rodowym Rejów i Firlejów. O zamiłowaniu Polaków do pląsów skocznych świadczy wzmianka w Psałterzu królowej Małgorzaty o taneczniku, nietylko nogami lecz i rękoma pląsającym; stwierdza to i Rej w swym wierszu:

Albo owo wesele, kiedy się po kąciech,
Tłuczecie, wyskakując, by szkapy w chomąciech,
Nazajutrz chłop narzeka, co go bolą boki,
Namierzły mu podobno onegdajsze skoki.

U ludu naszego do dziś dnia towarzyszą tańcom wesołe pokrzyki i przyśpiewy; że jest to zwyczaj bardzo stary, dowodzi tego sam tytuł broszury z czasów Zygmunta III p. t. „Pieśni, Tańce i Padwany, kwoli zabawom szlachetnej Młodzi — Teraz na nowo wydane i bardzo ucieszne“ [1]). Nie samo tylko wesołe spędzenie czasu miały tany na widoku: było to i ułatwienie zalotów, ku celom matrymonjalnym skierowanych. W starej broszurze p. t. „Odpowiedź na złote jarzmo małżeńskie“ taki ustęp znajdujemy: „Na to tańce różne, żebyście się im (dziewicom) słusznie przypatrzyli. Na to *Świeczkowy*, żeby, jeśli który nie dojrzy, lepiej ją widział przy świecy, którą przed sobą nosi; na to *mieniony*, żeby z boku obaczył; na to *goniony*, aby wiedział, jeśli nie kaleka albo nie dychawiczna i t. d.“ Prócz tych, były znane jeszcze tańce: galarda, drobuszka lub dorobuszka, gniotek, gniewus, lipka, taniec Macieja i Konrata, hajduk, wyrwaniec, sejduk, padwan, pasamer, kapreola, bergamaszka, hołubiec, koło, stryjanka, szkocki taniec, okrągły, drobny. Pozostały dziś z nich jeno nazwy, w zabytkach piśmiennictwa spotykane. O niektórych z nich znakomicie zasłużony dziejom kultury naszej twórca „Encyklopedji Staropolskiej“, Zygmunt Gloger bliższe podaje szczegóły:

Galarda — taniec włoski skoczny, w wieku XVI do Polski wprowadzony. Klonowicz zalicza go do tańców wesołych, Petrycy do skocznych, Paprocki nazywa „wdzięczną galardą“. Zimorowicz w Sielankach powiada:

Mogę galardy w włoską Pergameszką skoczyć,
Pląsy ruskie wyprawiać, polskim tańcem toczyć.

O *Cenarze* wspominaliśmy wyżej.

Goniony — była to gra i taniec zarazem, jakich

[1]) Przed dziesięciu laty prof. T. Wierzbowski wydał „Tańce, Pieśni i Padwany XVII wieku“ w „Bibliotece Zapomnianych Poetów i Prozaików Polskich“. Wydawnictwo dziś wyczerpane.



Juljusz Kossak. Sal. „Sztuka". (Z oryg. fotogr. A. Masłowski). Wesele krakowskie.

Polacy mieli dużo. Szereg wyjątków z dawnych pisarzów polskich pozwala wnosić o nadzwyczaj ożywionym charakterze tej zabawy: „Gra, gdzie jeden drugich ściga" (J. Kochanowski); „Milej patrzeć, gdy dziewka na koniu harcuje, niż gdy *gonionego* z goleńcem tańcuje" (Marcin Bielski) i inne. Taniec ten określali niektórzy przymiotnikiem „szalony".

Hajduk—nazwa dawnego tańca polskiego, o którym wspomina Morsztyn w „Światowej rozkoszy" z 1624 roku i inni pisarze nasi. Wójcicki widział go jeszcze na Rusi Podlaskiej tańczonego w ten sposób, że czterech parobczaków, położywszy cztery czapki na ziemi w prostej linji, każdy około swojej wyprawiał skoki. Aleksander Poliński znalazł w tabulaturze organowej rękopiśmiennej z r. 1541 melodję „Hajduka". Jak się domyślać można z tej melodji — pisze Poliński — był to taniec skoczny (rodzaj kozaka), utrzymany w takcie $^2/_4$ o rytmice żywej, charakteru skocznej polki.

Stryjanka — taniec staropolski. Składał się z dwuch części: z muzyki *drabanta,* który jest rodzajem marsza rycerskiego i od *draba* czyli piechuru wziął nazwę, oraz właściwej *stryjanki,* która jest właściwie raźnym mazurkiem, śpiewkami przeplatanym. Drabant miał ten przywilej, co i taniec polski, że go po wszystkich kątach domu tańczono ze skrzypkiem na czele, który szedł przed pierwszą parą po całym domu i zabierał wszystkich gości i domowników bez różnicy płci, wieku i stanu do tańca. Osoby poważniejsze szły tylko póty, dopóki grano drabanta. Skrzypek, poczynając grać *stryjankę,* zapytywał:

Co stryjanka robiła,
Kiedy sobie podpiła?

Pierwsza para odpowiadała do rymu wierszem, a jaką figurę zapowiedziała, taką wszyscy naśladować musieli, gdy tymczasem starsi jako widzowie przyklaskiwali ochocie. Wincenty Pol w poemacie swym „Stryjanka" tak określa ten taniec:

„Bo stryjanka to taniec był bardzo szalony!
Gdy go grano, to siedzieć niewolno nikomu,
Lecz i wszystkie wianuszki i wszystkie robrony
Szaleć społem musiały już po całym domu.

Rzuciwszy okiem na tańce polskie, których pamięć jeno pietyzm gorliwych badaczów naszej kultury przechował, zatrzymamy się dłużej na tych, które, najdobitniej i najbogaciej charakter nasz narodowy wyrażając, przetrwały, choć nieraz w obciętej lub

skażonej formie, do dziś dnia, w salonie czy pod strzechą. Są to: polonez, krakowiak, mazur i oberek [1]).

Polonez jest bardzo dawnym tańcem; tak jak szlachta nasza, musiał on kiedyś wyjść z ludu, by stać się potem tańcem ultra-szlacheckim i wreszcie dworskim. Maluje on lepiej niż każdy inny ustrój społeczny rdzennie polski, rasowy; nieograniczona ilość par — pisze Czerniawski — to gromada; przodkowie jednego (przywileje pierwszej pary), to głowa w gromadzie [2]). Razem, to pszczoły i matka mistycznej historji: to lud i wojewoda dawnych Słowian; to Rzeczpospolita z królem; koło rycerskie z Hetmanem; to wieś i dwór; to państwo młodzi z weselem.



Gavarni: Kostjum balowy.
Staloryt ze zbiorów H. Fukiera.

Poloneza zwano dawniej *tańcem wielkim, pieszym,* później *polskim* (nazwa ta przechowała się dotąd u ludu), wreszcie nazwano go z francuzka polonezem, gdy stał się tańcem, którym przez czas długi bale w całej Europie otwierano (dziś, jak wiadomo, ustąpił miejsca, jako taniec inauguracyjny, walcowi). Poloneza nazywano w jego odmianach: pieszym, klaskanym, odbijanym. Ongi pierwiastek wojenny w nim przeważał i tańczyli go często sami mężczyźni; później kobiety do niego wchodziły, ale tańczyły osobnemi parami; wkońcu dopiero, gdy taniec się rozwinął i pierwiastki dawnej wyłączności utracił, mężczyźni zaczęli go tańczyć w parach z kobietami. Poloneza zaczynała osoba najpoważniejsza wiekiem czy urzędem, lecz w imię naczelnej zasady szlacheckiej jeno jako *primus inter pares* rej wodził w tańcu ów przodujący, czyli, jak się mówiło po staropolsku, „stojący na trakcie"; potem szła para za parą, po starszeństwie lub nie. Sunął wąż różnobarwny posuwistym krokiem a pary dworską lecz stateczną wiodły rozmowę. Aż któryś z braci szlachty, pomnąc, iż szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, klaśnięciem w dłonie dobijał się przodkowania, odbijał matronę pierwszej parze i prowadził *nieskończonego* [1]); poprzednik przechodził do drugiej pary, z tyłu za pierwszą idącej, to znaczy powracał do „braci szlachty", przewodnictwo w inne zmuszony oddać ręce.

Dziś prawdziwego poloneza już się nie tańczy; z tańcem poloneza zaginęła i jego muzyka. Arcydzieła Szopena są czystą sztuką, w której geniusz kompozytora przetopił duchowe walory poloneza na twór własnej wyobraźni, lecz o właściwej muzyce do tego tańca małe możemy dziś mieć pojęcie, gdyż, jak słusznie twierdzi Kolberg, nader mało pozostało nam próbek muzyki staropolskiego poloneza. Smętne polonezy Ogińskiego i na marsze zakrawające Kurpińskiego nie są istotnym ducha „Wielkiego" tańca naszego obrazem.



Kostjum balowy z r. 1803.
Litogr. ze zbiorów H. Fukiera.

Motywy staroszlacheckiego poloneza tkwią jeszcze w ludowym tańcu „polskim" czyli „wolnym"; zachowuje się on tradycyjnie pod tą nazwą, lecz tylko w czasie godów weselnych, przy oczepinach jest tańczony. Polonez w Krakowskiem zwał się „Wielkim", gdy krakowiaka zwano „Małym" i rozpo-

[1]) Polka nie jast tańcem polskim, lecz czeskim; nazwa jej pochodzi nie od „pola", jak wielu sądzi, lecz od wyrazu czeskiego *pulka* (połowa) gdyż jej *pas* jest półkrokiem. Gloger, który tak nazwę polki tłumaczy, dodaje, że zaczęto ją tańczyć u nas około roku 1837, jako nowość, od lat paru wprowadzoną.

[2]) *Przodkowanie jednego* w tańcu zawsze u nas spotykamy. Rej z Nagłowic powiada także: „Patrzajże na pieszczoszki paniey forthuny, a oni się ubiegają, khto ma pierwszy w tanku poskoczyć".

[1]) Brodziński w swem studjum „O tańcach narodowych" mylnie utrzymuje, że odbijanie pierwszej pary zjawiło się później i było wyobrażeniem „liberum veto", gdyż słowo *nie pozwalam* zrywało sejm zupełnie; odbicie zaś pierwszej pary nie kończyło tańca i było tylko wypływem tego przekonania szlachty, że „tak dobry pan Kozłowski jak i pan Baranowski". (Czerniawski: „O tańcach narodowych").



Antoni Kurzawa. Ze zb. Artura Bardzkiego. Mazur.

czynając zabawę od „Wielkiego“, na „Małym“ ją kończono. Tak mówi o krakowiaku Gloger; Czerniawski zaś twierdzi, iż „krakowiak był kiedyś tak powszechnym, jak dzisiaj mazur, i zwano go *wielkim*“. W każdym bądź razie jest to taniec, pierwszy co do starszeństwa po polonezie; tańczył go lud krakowski i szlachta całej Polski; podobnie jak „polski“, łączył on w sobie rdzenne cechy społeczności słowiańskiej, t. j. był gromadą z jednym przodującym. Krakowiak miał też pierwotnie charakter wojenny: tańczyli go bowiem często sami mężczyźni, jeden drugiemu służąc w parę, jak towarzysz rycerzowi. Komuż obca jest żwawa, strojna i bogata, jak lud krakowski, melodja krakowiaka i dziarskie, pełne buty i temperamentu przyśpiewki?...

Ten malowniczy strojem, ognisty rytmem taniec po przeniesieniu stolicy z Krakowa do Warszawy i mimo przewagi Mazowsza w całokształcie życia narodowego, długi czas jeszcze walczył o lepsze z mazurem, któremu wreszcie pierwszeństwa ustąpił; jednak w swej kołebce, w ziemi krakowskiej i sandomierskiej przetrwał długo i w kuligach zapustnych zawsze prym dzierżył, zwłaszcza gdy kulig weselem krakowskiem do dworów zajeżdżał.



Lekcja tańca naszych babek.

Kiedy stolica Rzeczpospolitej przeniesiona została do Warszawy, Mazury, jak niegdyś krakowiacy, górę w narodzie trzymać zaczęli; mazur też, jako taniec szlachty naszej, zda się nie sięga dalszych czasów, jak panowania Zygmunta III. I ten taniec wyszedł z ludu; śród szlachty potem dojrzały i wyrobiony, stał się jej tańcem ulubionym i najżywotniejszym, dziś bowiem jeszcze na balach w wiejskich dworach spotkać można świetnych, godnie reprezentujących tradycję mazurzystów. Pasek w swych „Pamiętnikach“, opisując moment pewnej bitwy ze Szwedami, porównywa go z *wyrwanym* (taniec). Sądząc z opisu, był to rodzaj mazura i w takim razie tańczonoby już mazura za Jana Kazimierza, (dziś jeszcze po wsiach Mazowsza spotkać można zbliżony do mazura taniec, zwany *drobnym*, a między kurpiami *wyrwasem;* nie stanowi on jednak tańca samodzielnego, lecz jest wstępem do oberka).

W każdym razie, póki stolicą był Kraków, jeśli mazur był znany, ustępował pierwszeństwa krakowiakowi. Śpiewki, właściwe krakowiakowi, dawniej i w mazurze grały ważną rolę — zastępowały bowiem późniejsze figury, pochodzenia francuskiego. Mazur, pochłonąwszy poloneza i krakowiaka, stał się tańcem najbardziej jednolitym, iście narodowym i w Polsce powszechnym: z równem zamiłowaniem uprawiany po dworach jak i po karczmach.

Jest to z tańców polskich dla cudzoziemca najtrudniejszy, powiedzmy wręcz — niedostępny; nie znosi ścieśnień prawidłowych, potrzebuje swobody; trzeba go improwizować, tworzyć, nauczyć go się, gdy się nie ma we krwi dziedzicznego do twórczości tej podłoża—niepodobna. W r. 1899 w tygodniku rosyjskim „Priroda i ludi“ niejaki p. Siewiercow, pisząc z zapałem i znajomością rzeczy o tańcach polskich, tak o mazurze mówi: „Typowe polskie tańce, w których pięknie wyraża się cały charakter Polaka, jego żywość, elegancja, dowcip, to „krakowiak“, a szczególniej na całym świecie rozpowszechniony „mazur“. Któż nie zna tych pełnych życia i gracji, porywających tańców, szczególnie mazura: nie Polak, chociażby tańczył najpiękniej, nie wykona jak należy. Nasi „mazurzyści“ to nędzni naśladowcy tancerzy-Polaków“. (Gloger). Dawniejsza muzyka do mazura odmienny nieco miała charakter, niż w ostatnich latach pięćdziesięciu. Jako taniec szlachecki nie

nosiła ona jeszcze na sobie wpływów ludowego obertasa, widocznych po Nowakowskim i Dobrzyńskim, których mazury do tańca zamykają szereg czysto szlacheckich mazurów. W połowie ubiegłego stulecia oberek silne odcisnął piętno na mazurze: pierwiastek ludowy ożywił spłowiałe barwy tańca szlacheckiego. W naszych czasach Namysłowski ze swą kapelą zasilił go dobitnie zdrową nutą naszego ludu.

Śród ludu kujawskiego i po dworach tej dzielnicy Polski przechował się taniec miejscowy, kujawiak; wielu miesza go z oberkiem — lecz jest to taniec odrębny, poważniejszy i mniej skoczny; tańcuje go się bez przytupywania, „okrągło" i lekko, ciągle w kółko, z przyśpiewkami, improwizowanemi kolejno przez tancerza i tancerkę. Ma on w sobie dużo charakteru i ducha ziemi, z której wyszedł; we dworach tańczony raźniej i zamaszyściej, niż przez lud, który kładzie w ten taniec więcej smętku, zwłaszcza rozpoczynając kujawiaka t. zw. „śpiącym", wolniutkiem obracaniem się w kółko na lewo, stopniowo w rytm szybszy przechodzącem.



Mieczysław Reyzner. Sal. „Sztuka". Taniec.
(Z oryg. fotogr. A. Masłowski).

Obertas vel oberek słuszniej będzie nazwać tańcem ludowym niż narodowym, nigdy bowiem wraz szlacheckim tańcem nie był. Dopiero od lat kilkudziesięciu dwór przeniósł go ze wsi na swe pokoje, jako popis zręczności i siły wytrawnych tancerzy; jako taki, ma on zwykle charakter zawrotnego walca w lewo. Brodziński twierdził, (w „Melitele" wydaw. przez Odyńca) że lud nasz przyjął obertasa od Niemców, jako spaczonego walca [1]). Ile w tem jest słuszności, trudno orzec. W każdym razie ma w sobie oberek cechy wybitnie polskie: polonezowy krok lub skoczniejszy mazurowy, gdy para tańczących obchodzi izbę przed rozpoczęciem tańca, przypadanie na kolano przed tancerką, tempo zawadjackiej dziarskości w młynkowaniu, dumne noszenie się „tańcujęcy" w przerwach zawrotnego wirowania, ognistość i huczność przyśpiewek:

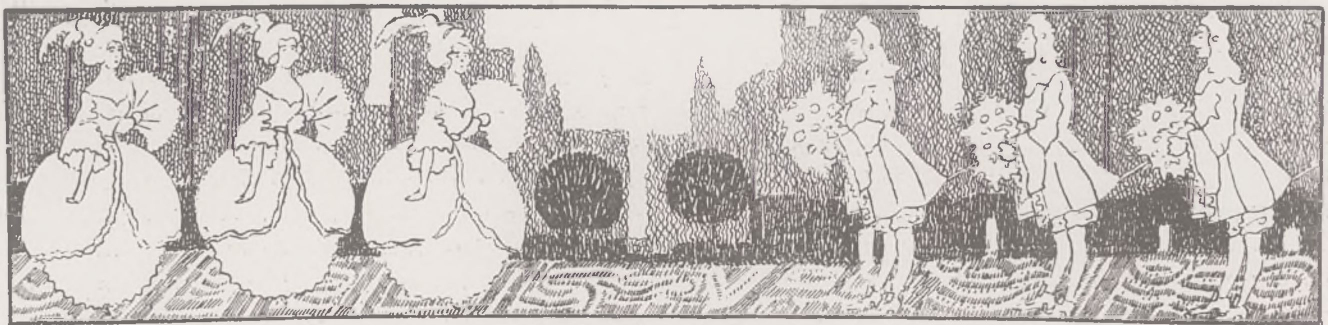
Oj! zawracaj od komi-
[na,
A uważaj, której niema!
Jest tu Kachna i Ma-
[ryna,
Tylko twojej Basi niema!

Czerniawski, który hypotezę Brodzińskiego kategorycznie błędną nazywa, czyni ciekawą uwagę co do różnicy symbolicznej w charakterze walca i oberka: „różni on się samym wirem, w walcu bowiem mężczyzna z kobietą razem w koło się obracając, posuwają się po linji prostej, owalnej lub kolistej i mężczyzna zawsze i wszędzie prowadzi kobietę, zawsze jest osią i słońcem, a ona planetą; w obertasie zaś, odbywającym najczęściej drogi koliste, raz kobieta obraca się koło mężczyzny, drugi raz mężczyzna koło kobiety i raz on jest osią, a drugi raz ona". I dodaje: „Doskonałe pojęcie wzajemnych praw i obowiązków! tu w ładza między małżonkami podzielona: on jest panem wrobotach gospodarczych, ona zaś w zarządzie domowym".

Innemi słowy i rozszerzając nieco ich znaczenie: symbolem normalnego, dobranego stadła jest... oberek, taniec śród tańców... najtrudniejszy!

W. Rogowicz.

[1]) Pani Gérard d'Houville (Henrykowa de Régnier) w gwiazdkowym n-rze czasopisma „Femina" z r. z., mówiąc o tańcach francuskich dawnych czasów, twierdzi, że walc jest pochodzenia *prowansalskiego*, nie niemieckiego.



Czy ty pamiętasz?..

Czy ty pamiętasz... w czarownym ogrodzie
Pod stopy twoje z róż słałem kobierce,
Słońce w szkarłatnym tonęło zachodzie
A złoty promień całował twe serce...

Czy ty pamiętasz?... Purpurowe łuny
Skroś lilijowy wieczór szły z przestworza.
A gdy mrok zapadł—twego serca struny
Tknąłem... i znowu zajaśniała zorza!
. . . .

Czy ty pamiętasz te lube godziny,
Czy ty pamiętasz ten uścisk przeklęty,
Kiedy płonęły twoich ust rubiny
I twoich oczu skrzyły się djamenty?

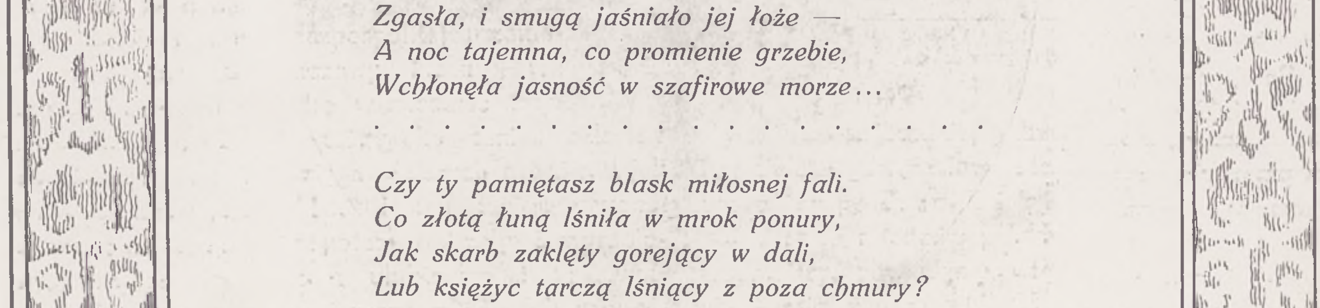
Czy ty pamiętasz?... Gwiazda—hen—na niebie
Zgasła, i smugą jaśniało jej łoże —
A noc tajemna, co promienie grzebie,
Wchłonęła jasność w szafirowe morze...
. . . .

Czy ty pamiętasz blask miłosnej fali.
Co złotą łuną lśniła w mrok ponury,
Jak skarb zaklęty gorejący w dali,
Lub księżyc tarczą lśniący z poza chmury?

Czy ty pamiętasz srebrnej jutrzni wschody?
W perły zabłysła rosa w noc rozsiana...
Zorzą spłonęły twoich lic jagody —
Zorzą — w poświacie słonecznego rana...

Czy ty pamiętasz?...

Walenty Zieliński.



Nowoczesna ewolucja baletu.

Epoka „rococo" uwięziła w martwym uścisku taniec, z którego wywiodły się za helleńskich czasów tragedja i komedja.

Ojczyzną baletu naszych czasów były Włochy z medjolańską operą, tradycyjną akademją baletu. Tam stawiały surowo mierzone, pierwsze kroki primaballeriny z „La Scali", tancerki, których „pas" dosięgało często wyżyn królewskich tronów, tancerki spowite w sztywną gazę krynoliny, tancerki, których maestrja tkwiła u końców różowych paluszków zgrabnych nóżek, wykształconych długą i mozolną tresurą fizyczną. Prowadzili ją surowi pedagodzy, kierujący się stereotypowemi formułami tańca, który w epoce najwyższego rozwoju muzyki był bezduszną wirtuozją.

Włoski balet, zaskrzepły w kanonach suchej metody, wyzbył się nieodzownej właściwości tańca... duszy. Panegiryczne alegorje, przepych olśniewających dekoracji, finezja poruszeń i rytmiki nie łączyły się bezpośrednio z wyrazem muzyki, jej nastrojem i charakterem, lecz często z całą bezwzględnością ujarzmiały muzykę dla swych wirtuozyjnych celów.

Powstanie muzyki dramatycznej nie odrazu wpłynęło na uduchowienie tańca. Sztywna krynolina i obcisły gorset przysłaniały właściwy tańcowi czar i wdzięk — linję i ruch ciała, długie dziesiątki lat szpeciły swą tępą bezdusznością urok prawdziwej muzyki.

Chwilę ukazania się w Europie Izadory Duncan powitano jako moment nowego odrodzenia tańca scenicznego. Duncan, dziecię Ameryki próbuje wskrzesić klasyczny taniec, znany nam z płaskorzeźb, rysunków waz etruskich, amfor, metopów, fryzów i sarkofagów. Duncan pierwsza odrzuca gorset, krynolinę i trykoty, próbując nadać ciału w tańcu wartości plastyczne, zaniedbane w balecie włoskim. Jaques-Dalcroze stara się ująć w naukowy system teorję rytmu a przez utworzenie szkoły w Hellerau wpływa na rozwój kultury muzycznej, która służy mu za podstawę dla wszelkich ewolucji tanecznych. Duncan ogarnęła twórczością swą plastykę tańca, Dalcroze zaś jego rytmikę i muzykę.

Dwa te głośne nazwiska, nie posiadające dotychczas godnych epigonów, krzewią swe idee na zachodzie Europy, gdy tymczasem na wschodzie powstaje nie teorja pedagogiczna, nie próba antycznych rekonstrukcji, lecz samorzutny czyn artystyczny, który olśnił swem indywidualnem pięknem, Londyn, Paryż, Berlin i Wiedeń.



Hilda Gard, młodociana primabellerina teatru San Carlo w Neapolu.

Balet petersburski był oddawna surowem „gimnazjum" elewów i koryfejek baletu, w duchu włoskim prowadzonem. Przedziwne zetknięcie się tatarskiej akrobatyki, indochińskich religijnych pląsów, orgji kolorystycznej moskiewskiego Kremlu z omdlałością kultury „rococo" złożyło się na urobienie tego imponującego zespołu, jakim jest współczesny balet rosyjski z reżyserem Fokinem, malarzem Bakstem, tancerzami tej miary co Niżinskij, Bolm, panie: Karsawina, Astafiewa, Pawłowa, Ghelzer. Niżyński, wykształcony w twardej szkole petersburskiego baletu, jest uosobieniem gracji, której nie zatraca w czasie najgwałtowniejszych nawet wolt, piruetów i skoków, jakich pozazdrościć mu może niejeden angielski recordman.

W wystawionych utworach „Le spectre de la Rose", „Le dieu bleu", „Szecherezada", „Pawilon Armidy", przewijają się przez scenę tryskające życiem poetyczne obrazy, w których ruch, rytm i barwa łączą się w jedną symfonję piękna, orgję barw i ruchów, przypominające to świątynie Kambodży, to stepy Donu.

Genjalny malarz Bakst i reżyser Fokin umieli pełnemi rękoma czerpać eklektycznie motywy Hellady, przeplatając je zręcznie echami z pod Uralu, Kremlu i Pekinu.

Ekspresja malarska i taneczna olśniła oczy Europy, muzyka baletów o melodjach Szopena, Schumana i Rimskij-Korsakowa porwała serca francuskich, angielskich i niemieckich melomanów, zachwycających się genjalnie zręczną pracą Fokina.

Filarem powodzenia baletu rosyjskiego jest twórczość malarza. Dla wyzwolonego z więzów krynoliny i batystu, wstawek i numerów baletu stworzył on prawdziwie artystyczną oprawę, na której tle taniec ekspresją wyrazu, gestu i rytmu, barwą i formą wypowiada z poetycznym wdziękiem przeżycia duszy ludzkiej.

Bakst umiał połączyć style wszystkich epok, zabytki etnograficzne wszystkich kultur, czyniąc to z elastycznością urodzonego baletmistrza, który tworzy w zawrotnym tempie tajemniczym przepychem owiane scenerje, pełne apolińsko-mistycznego nastroju. Kostjumy, skomponowane przez Baksta, to nie lalki manekinów wystawowych, lecz drgające utajonem życiem istnienia, poruszające się powiewnie, z omdlałością ruchów wschodniej tancerki. Kostjumy jego to nie szychy i świecidełka, nie przybrania tancerzy, *lecz składowy pierwiastek rytmu tańca.*

Bakst syci oczy nową, nieznaną rozkoszą orgji barw przebogatych, lubieżnością przepojonych, ciągle zmiennych, w blasku zalewających tancerzy potoków światła z mieniących się tęczą barw reflektorów. Rosyjski balet, który przybrał już sobie za drugą ojczyznę Paryż, gdzie cieszy się niesłabnącem uznaniem, jest nowem odrodzeniem tańca, o składowych pierwiastkach senzytywnej dzikości i barwności azjatyckich, nieznanych Europie prymitywów.



Słynny tancerz Niżyński w „Pawilonie Armidy"

Wschód po raz drugi w ciągu dwu ubiegłych wieków dokonywa inwazji na sztukę europejską: malarską, z Japonji i Chin a taneczną we współczesnym balecie rosyjskim, w którym zlewają się kultury Wschodu i Zachodu w przedziwnie upajający zmysły, wibrujący ruchem, muzyką i barwą amalgamat.

Marjan Dienstl.



(Fot. W. Sztyblewski).

Scena z baletu „Szecherezada".

Karnawału złoty sen.

Maskarada — bal — orkiestra
pod batutą Włocha maestra —
fraków tłumy — masek roje —
egzotyczne, barwne stroje —
zapach perfum — szmer wachlarzy —
jakby bajka, tak się marzy
karnawału złoty sen...

Buduaru światło mżące —
tony walca — ciche — drżące —
rozchylone usta krwawe...
półprzymknięte oczy łzawe...
pocałunek... szept... pragnienie...
niesie słodkie zapomnienie
karnawału złoty sen...

Świt bladawy w głąb się wdziera —
już głos umilkł aranżera —
pomęczone siedzą pary,
a dokoła ranek szary...
drżące walca zcichły tony —
nuda — przesyt... już skończony
karnawału złoty sen...

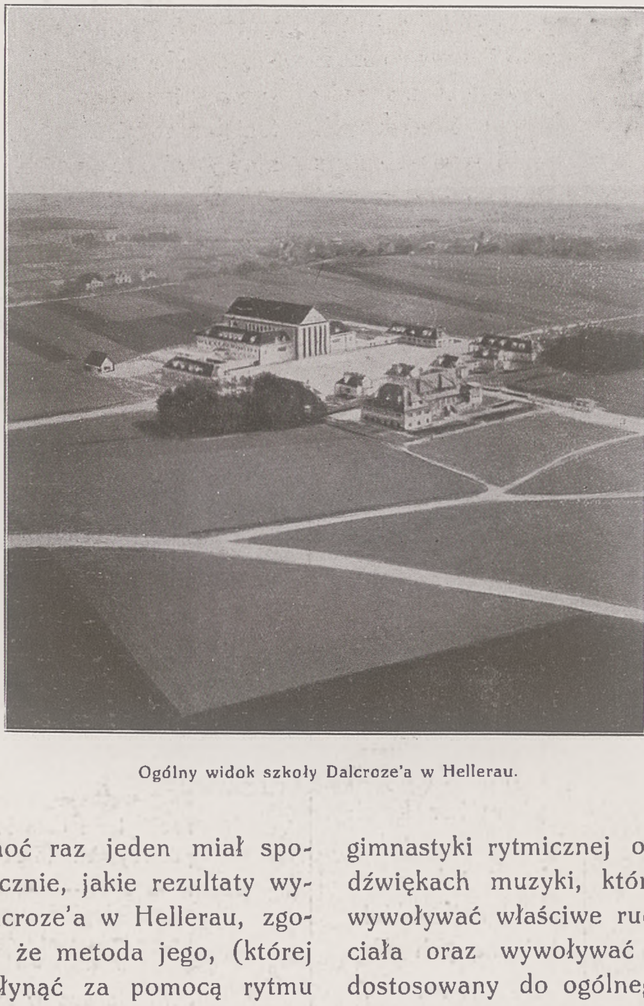
Jan Sokolicz Wroczyński.

Styczeń 1911 r.

Rytm i harmonja ruchów.

W mieście - ogrodzie Hellerau poza szeregami domków robotniczych, zbudowanych według planów Muthesiusa, Riemenschmidta i Tessenowa, leży olbrzymi plac, na którym wzniesiono, wzorowo pod każdym względem urządzoną i jedyną w swoim rodzaju instytucję wychowawczo - artystyczną Jaques - Dalcroze'a, gdzie za pomocą kroków oraz rytmicznych ruchów młodzież i dzieci uczą się wyrażać wrażenia swoje i uczucia. Bezpośrednie wyrażanie za pomocę rytmu najprostszych życiowych wydarzeń jest podstawą artystycznej metody Dalcroze'a, którego cel zasadniczy polega na *„podniesieniu rytmu do wyżyn instytucji społecznej"*.

„Wyzwalamy się od tyranji niepotrzebnych skurczów mięśni i oczyszczamy nasze życie uczuciowe od wszelkich niejasnych a niebezpiecznych, bo połowicznych uczuć i niestrawionych wrażeń. W ten sposób właśnie potęgujemy naszą siłę życiową dla arcydzieł sztuki, bo artysta, który je stworzył, znajduje w nas ludzi o silniejszym odgłosie, subtelniejszem uczuciu, pogłębionej wrażliwości — wewnętrznie przysposobionych ludzi". Tak mówi o swojej metodzie Jaques-Dalcroze.



Ogólny widok szkoły Dalcroze'a w Hellerau.

Istotnie, każdy kto choć raz jeden miał sposobność przekonać się naocznie, jakie rezultaty wydała dotychczas praca Dalcroze'a w Hellerau, zgodzi się na to bez wahania, że metoda jego, (której celem i zadaniem jest wpłynąć za pomocą rytmu na rozwój oraz pogłębienie kultury ogólnej) kształci i wytwarza nie tylko ludzi o spotęgowanej sile życiowej dla arcydzieł sztuki, nietylko ludzi o silniejszym odgłosie, subtelniejszem uczuciu, pogłębionej wrażliwości, lecz nadto że kształci ona i wytwarza prawdziwych artystów, mistrzów i mistrzynie rytmu, *„plastycznie ucieleśniających muzykę."*

Za pomocą plastyki wyjaśnia się tam formę fugi w fugach Mendelsohna. Za pomocą plastyki również zdołał Dalcroze odtworzyć oraz nauczył odtwarzać innych następujące tematy: *„Gdzie szczęście"*, *„Rozbudzenie się do światła"*, *„Taniec wojenny"*, *„Duchy zemsty"*, *„Tańce dziewcząt"*, *„Do wyżyn"* i wiele, wiele innych kreacji. Kreacje powyższe — to przepiękne i wspaniałe *obrazy ruchowe*, wyrażające zazwyczaj abstrakcje: tęsknotę, radość, lęk, cierpienie i t. p.

Nie poprzestaje jednak Dalcroze na *„studjach plastycznego ucieleśnienia muzyki"*, lecz dąży jeszcze w utworach swoich do odnalezienia drogi dla wrażeń silniejszych, dąży do wypowiedzenia dramatycznej myśli, do wyzyskania umiejętności swojej dla sceny, odtwarzając epizody z „Orfeusza" Glucka, z pośród których *„Taniec Furji"* wprost zdumiewa swojem wykonaniem. Z innych kreacji Dalcroze'a zasługują jeszcze na zaznaczenie pantominy „Echa", do których sam mistrz dorobił muzykę. A chociaż muzyce tej zarzucić można, że pomyślana jest zbyt tendencyjnie, to jednak niektóre epizody wspomnianej pantominy są przepiękne.

Nie potrzebuję tu chyba nadmieniać, że wszystkie kreacje a nawet ćwiczenia z zakresu gimnastyki rytmicznej odbywają się w Hellerau przy dźwiękach muzyki, której jakgdyby zadaniem jest wywoływać właściwe ruchy rąk i wogóle rytm całego ciała oraz wywoływać odpowiedni wyraz twarzy, dostosowany do ogólnego nastroju. W każdym razie bez względu na to, czy nowa droga, na której czele kroczy twórca szkoły w Hellerau, doprowadzi go lub też nie do zamierzonego celu, nie można stanowczo owych ruchowych obrazów, owego rytmizowania najprostszych życiowych wydarzeń traktować jako przyjemną chwilową rozrywkę, jako modny sport lub nawet jako nader pożyteczną metodę wychowawczą, lecz jako wysoce kulturalny, estetycznie i artystycznie kształcący czynnik wychowawczy.

Celem gimnastyki rytmicznej jest dążenie do rozwijania poczucia rytmu oraz jego zrozumienia. Rytm bowiem, kształcąc ciało i ducha, wzmacnia system nerwowy, dodatnio oddziaływa na wolę i ułatwia harmonijny rozwój osobowości. Znakomicie przytem dopomaga metoda Dalcroze'a do wykształcenia muzycznych zdolności swoich wychowańców, starając się poprowadzić naukę w ten sposób, by z ćwiczeń praktycznych wyciągnąć mogli prawa muzyczne, by w nich rozbudzić ducha twórczości oraz poczucie rytmu. Ostatecznym zaś kresem tego muzycznego i rytmicznego wykształcenia jest rozszerzenie kulturalnego widnokręgu uczestników oraz pogłębienie wykształcenia ogólnego.



W tańcu.

Twórcza działalność mistrza rytmu nie ogranicza się do stworzenia gier rytmicznych o treści symbolicznej, stara się on nadto, by gry te zajęły pierwsze miejsce w rzędzie więcej lub mniej estetycznych rozrywek. A popisy w Hellerau wzywają do współudziału w owych grach symbolicznych wszystkich obecnych gości — przyczem mistrz wygłasza następujące znamienne słowa: „Zdaje nam się, że gościom naszym ofiarowujemy najlepsze, co mamy — więcej niż zewnętrzne wydoskonalenie kiedykolwiek dać może, zapraszając ich na kilka dni do udziału w uroczyście podniosłym nastroju naszej codziennej pracy, która, jakąkolwiek się jej wartość w przyszłości okaże — uszczęśliwia nas i zbogaca".



Ruchy rytmiczne.

Widzimy z powyższego, że sam mistrz jeszcze nie jest świadom, czy ziszczą się wszystkie jego marzenia, choć przecie zabrał się do dzieła z całą znajomością rzeczy. Jaques-Dalcroze bowiem w ciągu lat dwudziestu sprawował urząd profesora kompozycji przy konserwatorjum w Genewie i w czasie długoletniej swojej pracy nauczycielskiej zrozumiał i dokładnie ocenił całą wadliwość ogólnie stosowanych metod muzycznych, których celem zasadniczym winno być rozwijanie w zaraniu życia wrodzonych zdolności do muzyki, kształcenie słuchu i poczucia rytmu.

Stworzył przeto metodę, której celem było przedewszystkiem kształcenie słuchu, wprowadzenie do wykształcenia muzycznego nauki praktycznej harmonji, rytmicznej gimnastyki oraz improwizacji i w roku 1905 założył własny instytut w Genewie na mniejszą skalę, gdzie, pracując spokojnie, miał sposobność i możność rozwinąć i udoskonalić swoją metodę. W kwietniu 1911 roku przeniósł Dalcroze zakład swój do Hellerau pod Dreznem, a już w jesieni tegoż roku, również za jego staraniem i z jego inicjatywy powstały analogiczne zakłady w Berlinie oraz Dreznie. Jesienią 1912 roku otwarto filje zakładu Jaques-Dalcroze'a we Frankfurcie nad Menem, Moskwie i Petersburgu.

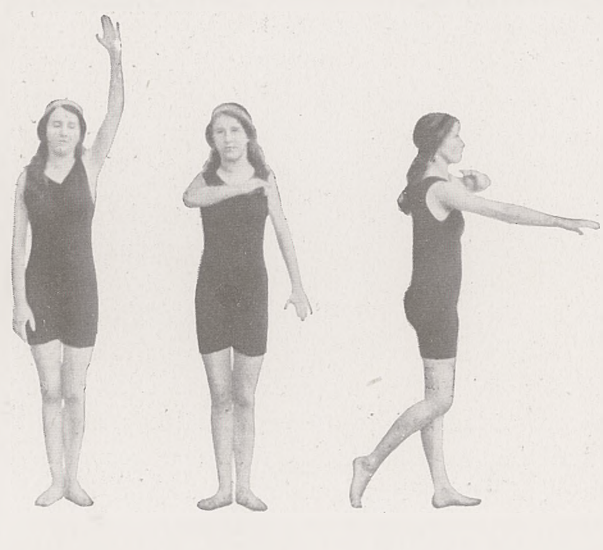
W jesieni roku 1913 p. Mieczyńska otworzyła takąż filję w Warszawie. Wkrótce powstać mają a może już powstały filje zakładu Jaques-Dalcroze'a w Budapeszcie i Rydze.

Wszystkie wspomniane uczelnie prowadzone są przez dyplomowanych nauczycieli i pozostają pod bezpośredniem Jaques-Dalcroze'a kierownictwem. Te liczne zakłady, w rozmaitych punktach Europy rozrzucone, to najoczywistszy dowód, że wśród kulturalnych europejskich społeczeństw idea rytmiczno-estetycznego wykształcenia istniała już od dawna, i że po wprowadzeniu jej w życie przez mistrza z Hellerau propagować zaczęli jego ideę, kształcąc się w zakładzie Jaques-Dalcroze'a, ludzie najrozmaitszych fachów, a więc: nauczyciele gimnazjalni i ludowi,



pianiści, baletmistrze, tancerze i tancerki, wychowawcy i wychowawczynie, śpiewaczki i śpiewacy operowi i wogóle artyści teatralni, dyrektorowie orkiestr i chórów obok tak zwanych osób z towarzystwa, całych zastępów szkolnej młodzieży oraz dzieci w wieku przedszkolnym — i każdy studja swoje w innym prowadzi celu. Nie odrazu jednak powstała i dojrzała ta wielka twórcza idea w głębokim umyśle mistrza z Hellerau: zapoczątkowało ją i przyśpieszyło długoletnie doświadczenie pedagogiczne w genewskiem konserwatorjum, miał bowiem Jaques-Dalcroze w praktyce swojej nauczycielskiej, zarówno jak i inni profesorowie konserwatorjum, takich uczniów, których gra pozbawiona była rytmu i takich którzy zupełnie go nie rozumieli. I gdy inni profesorowie usiłowali wzbudzić w swoich uczniach poczucie rytmu za pomocą odwiecznego, niezrozumiałego dla nich rachowania do taktu, mistrz Dalcroze siadał sam do fortepianu i zaczynał wygrywać rytm, w takt którego musieli jego wychowańcy kroczyć a następnie biegać.

Metoda powyższa nie zawiodła nigdy Jaques-Dalcroze'a, z chwilą bowiem gdy uczniowie rytm odczuli, bez żadnej trudności mogli go wówczas

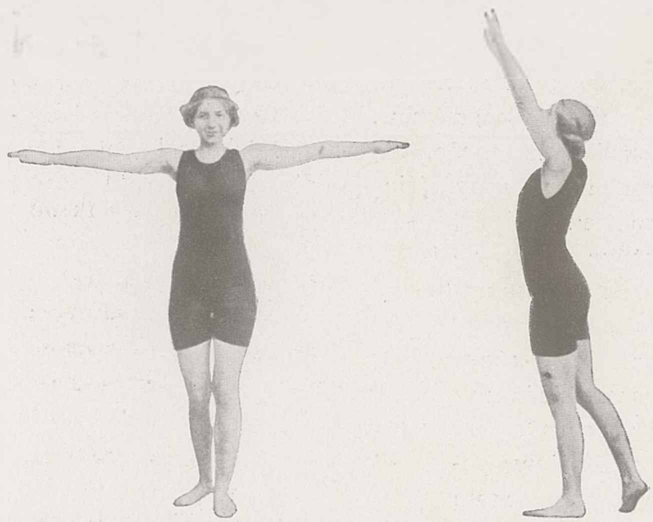


zrozumieć i odtworzyć. I to właśnie było podstawą nowej metody...

Obok rozbudzania i kształcenia poczucia rytmu starał się jednocześnie Dalcroze o kształcenie słuchu, i jemu to zawdzięcza swoje udoskonalenie tak zwana *Solfège-Methode*, dzięki której zdobywają uczniowie wiadomości o wzajemnych stosunkach dźwięków, o interwalach i o harmonji jedynie mocą własnego doświadczenia.

Słowem, metoda Jarques-Dalcroze'a jest antytezą wszelkich innych w chwili obecnej istniejących metod nauczania, których jedynym i wyłącznym celem jest wykształcenie intelektualne.

Celem metody mistrza z Hellerau, obok wykształcenia intelektualnego, jest zarazem rozwój oraz kształcenie woli, fantazji, zdolności do skupienia, jak również (według wyrażenia samego Jaques-Dalcroze'a) rozwój oraz kształcenie *zmysłów duchowych*, więc *duchowego słuchu* oraz *duchowego wzroku*. Zapewnia ona przytem ciału każdego uczestnika normalny rozwój według naturalnych praw przyrody. Nie sama bowiem wiedza jest według Dalcroze'a głównym i zasadniczym życia ludzkiego czynnikiem, lecz przedewszystkiem *kształcenie wrodzonych i właściwych każdemu człowiekowi zdolności.* Wiedza bowiem jest jako skarb, który ustawicznie nosimy z sobą. Na podniesienie jednak wartości osobistej każdego człowieka oraz na zasadniczą przemianę wewnętrznej jego istoty wpłynąć może jedynie *harmonijny rozwój wrodzonych mu zdolności.*



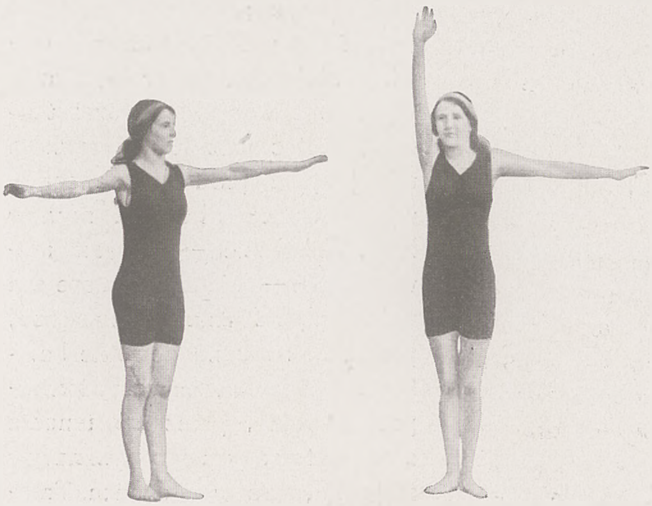
Reasumując wszystko, widzimy że myślą przewodnią, że zasadniczym celem metody Jaques-Dalcroze'a jest rozwój oraz kształcenie ogólnej muzykalności, słuchu, energji, woli, wyrobienie sprawności i zręczności całego ciała, harmonji ruchów—słowem, wykształcenie poczucia rytmu, nie mówiąc już o przemożnem oddziaływaniu na tak dotychczas upośledzoną i zaniedbaną duchową stronę człowieka

za pośrednictwam wspaniałych, pełnych poezji obrazów ruchowych, lub kreacji scenicznych, którym obszerną wzmiankę poświęciłam wyżej.

Gdyby więc nawet dotychczasowa działalność mistrza z Hellerau stała się kresem jego twórczości, to i tak piękny cel, przez niego zamierzony, zostałby już w znacznej części osiągnięty. A teraz, na zakończenie słów kilka poświęćmy zakładowi gimnastyki rytmicznej u nas w Warszawie, założonemu przed niedawnym czasem przez p. Mieczyńską. Już sam napis, umieszczony na drzwiach lokalu zakładowego, opiewający, że jest to *filja zakładu Jaques-Dalcroze'a*, budzi uczucia sympatyczne w każdym, kto miał sposobność zwiedzić zakład w Hellerau.







Lokal złożony jest z obszernych sal, gdzie p. Mieczyńska, młoda Jaques-Dalcroze'a uczenica, z wielką inteligencją oraz znajomością rzeczy, podczas doskonale prowadzonych wykładów zbiorowych ideę swego nauczyciela rozpowszechnia i w życie wciela. A jak prowadzony jest zakład i jak p. Mieczyńska ideę mistrza z Hellerau u nas krzewi, najlepiej przekona się każdy, kogo to bliżej obchodzi, przez zwiedzenie urządzeń tego wielce pożytecznego i potrzebnego u nas zakładu.

E. Żypowska.

TANGO.

Długie, długie lata taniec lekceważono. Zapomnieliśmy o czasach, kiedy interesowali się nim wszyscy, kiedy był sztuką, równie poważaną jak muzyka, śpiew — i niespodzianie jesteśmy świadkami powrotu kultu tańca.

Baletem do niedawna nikt się nie interesował — dziś najsławniejsi artyści oddają mu na usługi swój talent. Rosyjski balet z kostjumami i dekoracjami Baksta, Gołowina i Benoista podbił świat. We wszystkich językach ukazują się wielkie albumowe monografje, poświęcone baletowi, przedstawienia baletowe należą do najdystyngowańszych widowisk, imiona Karsawiny, Niżyńskiego, Pawłowej są sławne narówni z imionami największych wirtuozów.

Jak się to stało? Czy to skutek jedynie reklamy? Bynajmniej. Balet przeszedł w ostatnich latach prawdziwą rewolucję, zmieniając się ze zbioru tańców najróżnorodniejszych nastrojem i charakterem w wielkie pantominy o silnym nieraz wyrazie dramatycznym, gdzie niezmiernie ważnym walorem artystycznym jest malarsko piękna wystawa i artystycznie komponowane kostjumy — obok przerzucenia w tańcu punktu ciężkości z wykonywania trudnych i skomplikowanych pas na harmonijność ruchów i piękno linji.

Okres podobnej rewolucji przechodzi obecnie taniec salonowy. Długi czas panowania walca ma się ku końcowi. Jest on za monotonny, za mało urozmaicone ma ruchy, za mało daje wrażeń człowiekowi XX wieku; kontredans zaś, ta druga podstawa wieczorów tanecznych, w obecnem wykonywaniu jest raczej automatyczną w różne strony przechadzką, niż tańcem. To też zamiłowanie do tańców zanikało stopniowo; stawał się on przywilejem najmłodszych i ciężkim obowiązkiem dla ogromnej większości młodzieży. Stare tańce się przeżyły — nowe były zbyt ekscentryczne, aby je módz wprowadzić do salonu.

I nagle zjawił się taniec, który poruszył wszystkich. Przyszło *Tango* — i zwyciężyło. Z dalekich stepów Ameryki Południowej, jako taniec ludowy przywędrowało do Europy, „wycywilizowało

się" i zakrólowało. Wprawdzie tu i tam krzyknięto, że wiodąc swój ród ze stepu, chaty i karczmy, jest zbyt ordynarne dla błyszczących posadzek salonu— ale nie zapominajmy, że wszystkie prawie tańce salonowe są pochodzenia ludowego i że tango salonowe bardzo mało przypomina swój prototyp.

Żyjemy obecnie pod znakiem Tanga! Mówią o nim wszyscy, pisze o nim Roosevelt, Jan Richepin wygłasza w Akademji Francuskiej konferencję, jako zapalony nowego tańca wielbiciel, piszą o nim wszystkie dzienniki, w ilustracjach co chwila spotykamy fotografje sławnych „tangistów" lub nowych figur. Panujący wygłaszają swoje opinje, powstaje moda „tangowa"—więc perfumy tango, kolor tango, krój tango.

Reklama nadużywa słowa „tango", wiedząc że sam już ten dźwięk wywołuje wzruszenie i zainteresowanie; co więcej, ci którzy dawno już zapomnieli, kiedy tańczyli, biorą na wyścigi lekcje, przepłacając nauczycieli, których honorarja doszły do niebywałych rozmiarów.



B. Gęstwicki. Sal. Richlinga. „Tango".

Francja tanguje z takim zapałem, że jak któryś z polityków francuskich dowcipnie powiedział, jedynym sposobem utrzymania równowagi budżetu Francji jest... opodatkowanie tanga na rzecz skarbu.

Na czem więc polega ta rewolucyjność nowego tańca, czemu zawdzięcza to, że stał się najmodniejszym tańcem i że popularność jego wzrasta ciągle, jednając równie gorących wielbicieli jak przeciwników. Tango wniosło do tańca salonowego szereg nowych zupełnie pierwiastków, które, rozwijając się wywołać mogą zupełną reformę salonowego tańca.

Daje więc przedewszystkiem nowy, niezmiernie charakterystyczny, nerwowy, pełen niepokoju, swoisty rytm; drugą „nowością" jest, że tancerz i tancerka stawiają niejednakowe kroki; zjawia się nawet figura, w której tancerz, stojąc w miejscu, ruchem rąk jedynie prowadzi tancerkę, wykonywującą skomplikowany krok. Wreszcie — co jest najważniejsze—daje tango najszersze pole indywidualności tancerza, pozwalając mu na dowolne kombinowanie kroków, nawet na ich improwizowanie, przez co tancerz z roli automatycznego wykonawcy staje się twórcą swego tańca. Trzymanie się za ręce też jest rozmaite: ciągła zmiana wzajemnej pozycji tancerza i tancerki pociąga ustawiczną zmianę trzymania aż do zupełnego rozłączenia się i tańczenia oddzielnie. Obowiązuje jedynie najściślejsze przestrzeganie rytmu i zachowywania ducha tańca. Kroków zasadniczych jest



Le Duque i Arlette Dorgère, świetna paryska para w „Tango"



W pierwszorzędnym hotelu w Londynie para tańcząca „Tango" zabawia podczas kolacji tłumnie zebranych gości.

kilkanaście, z tych najważniejsze o argentyńskich nazwach są: *El corte, el paseo, media luna, ocho i el frottado.* Każdy nauczyciel tworzy nowe — z nich przez najzupełniej dowolne łączenie powstaje niezliczona ilość figur. To też tango jest jednym z najprzyjemniejszych tańców dla patrzących, dostarczając nieustannie nowych wrażeń, nowych figur, nowych póz.

Prawdziwe tango może być tańczone tylko przez dobrych tancerzy. Walc, polka, tańczone lepiej lub gorzej pozostawały zawsze sobą, o ile kroki były dostatecznie wyszkolone, tango zaś, złożone z ruchów, przeplatanych długiemi pauzami, zmieniających się co chwila z szybkich w bardzo powolne i odwrotnie, wymaga wielkiej muzykalności i źle tańczone — przestaje być tangiem.

Tango jest tańcem chwili, ale posiada tyle zalet artystycznych, tak odpowiada swoim charakterem duchowi naszych czasów, iż napewno powiedzieć można, że nie będzie efemerydą, jak różne co sezon powstające ekscentryczne tańce. W wielkiej jednak jego popularności kryje się i niebezpieczeństwo — ulega łatwo zwyrodnieniu, dzięki zbytniej fantazji niektórych tancerzy. Zaradzić temu ma projektowany międzynarodowy kongres nauczycieli tańców, który ma „skodyfikować" tango — i wtedy wszystko poza uznanymi krokami będzie fantazją, nie mogącą szkodzić reputacji samego tańca. U nas tango zdobywa dopiero prawa obywatelstwa — ma więc jak każda nowość wielu wrogów. Zamiast jednak polemizować odsyłam ich wszystkich na „Wcielenie Afry" — gdzie p. Pola Negri i p. Kuryłło, idealna para tangistów, klasycznym swym tańcem dadzą najwymowniejszą odpowiedź.

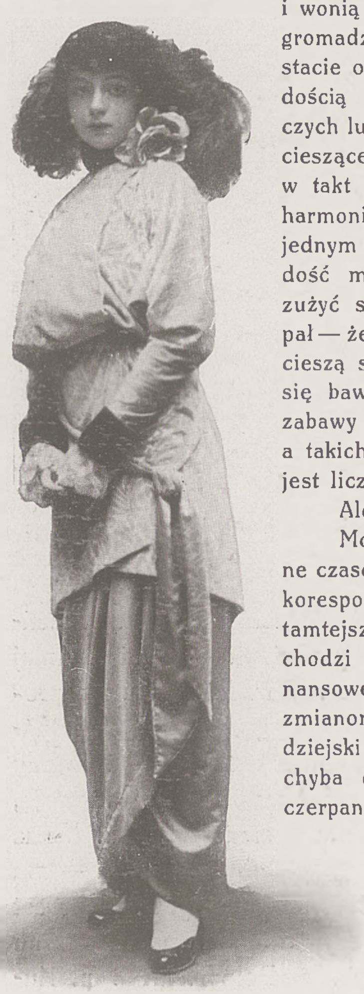
Jedną ma tylko tango wadę — jeżeli to jest wadą — jest trudne. To też w swej czystej formie nigdy nie stanie się tańcem szerokich mas ale w salonie zapanuje mimo zakrzepłych w rutynie nauczycieli tańców starej daty, mimo zrzędzenia malkontentów, opinji ukoronowanych głów i mimo najstraszniejszego wroga — złych tancerzy.

Nieargentyńczyk.

OD ADMINISTRACJI. Prosimy Sz. Prenumeratorów o zwracanie uwagi przy otrzymywaniu z poczty „Wsi i Dworu" na rzymskie cyfry, oznaczające kolejność numerów i w razie zauważenia braku któregokolwiek zeszytu — o natychmiastowe zawiadamianie naszej Administracji, byśmy skutecznie mogli zareklamować na poczcie.

KARNAWAŁ — I MODA.

Karnawał!... Dziecię wesołości i śmiechu, stubarwny motyl, którego skrzydła iskrzą tysiącami blasków, szeleszczą pustotą i czarem młodości, miewał on zawsze swych gorących wielbicieli i swych zawziętych przeciwników, chciano go nieraz wyłączyć z wielkomiejskiego i wogóle towarzyskiego repertuaru, powstawano przeciw nieodłącznym kosztom, które dla każdego pociąga, nazywano go przyczyną rozlicznych zbytkownych wydatków, a on z figlarnym uśmiechem nucąc taneczną pieśń młodości, przysłuchiwał się rzucanym na siebie gromom i szedł dalej otoczony blaskiem świateł i wonią kwiatów. Książę-karnawał gromadzi wkoło siebie cudne postacie o śnieżnych ramionach, młodością błyszczących oczach, kruczych lub złotych splotach, postacie cieszące się czarem życia i mknące w takt balowej muzyki, w piękny harmonijny wir taneczny. Jest to jednym więcej dowodem, że młodość ma swoje prawa, że musi zużyć swą życiową energję — zapał — że musi się bawić i tańczyć; cieszą się wszyscy — i ci, którzy się bawią — i ci, dla których te zabawy są powszednim chlebem — a takich w wielkiem mieście duża jest liczba.



P. Lubicz-Sarnowska w tualecie wizytowej. (Fot. J. Malarski i K. Tavrell).

Ale mówmy o modzie.

Moda!.. Przeglądając specjalne czasopisma paryskie, odbierając korespondencję z najpierwszych tamtejszych modnych źródeł, dochodzi się do przekonania, że finansowe stosunki uległy na świecie zmianom w jakiś niebywały czarodziejski sposób, że pieniądze płyną chyba olbrzymią rzeką o niewyczerpanych źródłach, że wszelkie wyliczenie, wszelki tualetowy budżet przestał istnieć, że nosi się to co jest modne — co się podoba — bez najmniejszego na to względu, co to może kosztować. Paryż, zasilany przez miljonerki amerykańskie, przez wielkie i mniejsze artystki sceniczne i kabaretowe, opłacane nieraz na wagę złota... i przez arystokrację własną rodową oraz plutokrację, stracił wszelki umiar i najzupełniej rozstał się ze zdrowym rozsądkiem. Brylanty wprost pokrywają głowy i biusty — całe szaty, całe postacie, łącznie z nóżkami i pantofelkami, błyszczącymi aż do końca obcasów. Gronostaje otulają kobiece kształty przecudnymi płaszczami, podbijanymi złotolitą gazą. Najcenniejsze materje, tkane złotem i zdobne kaboszonami, wiją się dokoła ich smukłych postaci. Moda *moderne style,* wchłonęła w siebie wszystkie narodowości i wszystkie epoki, kobiety przebierają się za odaliski, za greczynki, za gejsze, wszystko to oczywiście stylizowane, modernizowane, przeniesione do świata rzeczywistości jakby z bajek „Tysiąca i jednej nocy“, a opłacane bajońskiemi sumami.

Tak się w najgłówniejszych zarysach przedstawia „Moda“ — w Paryżu.

U nas, oczywiście, wszystko to jest bardzo zredukowane, ale duch — istota „Mody“, pozostaje taką samą, z zacięciem do zbytku, z tendencją do ekscentryczności. Jako ostatnia nowość w dziale sukien balowych, pojawiła się tiunika, idąca od talji aż do kolan, silnie nadmarszczona, a także i duże tiuniki takie, złączone przy pasku, jedna cokolwiek krótsza od drugiej, obie ramowane futrem i podszyte miękką uginającą się stalką. Jest to zapewne pierwsza zapowiedź krynoliny, od której ustrzeż nas — o Modo!

Spódnice do *tańca* są z lekka drapowane i rozcięte na lewym boku na wysokość pół metra od ziemi. Umiejętny ten krój odsłania nogę powyżej kostki, jest to ładne, ale wymaga wielkiego umiaru i taktu w ubraniu.

Uczesania noszą bardzo wysoko po nad czołem upięte, zdobne w najrozliczniejsze świecidła. Materjały na suknie balowe są olbrzymio urozmaicone, co do kolorów i gatunku; pięknie wyglądają tak zwany *double satin* i zawsze ładny *crêpe de chine.* Najmodniejszą barwą jest tak zwana *tango,* a dla młodziutkich osób biały kolor najwłaściwszy zawsze i wszędzie. Jedna z naszych rycin przedstawia piękną tualetę balową, dla młodej mężatki: dół sukni składa się z umiejętnie dobranej materji *double satin* w kolorze „tango“, przy kolanach owinięcie z czarnej koronki *chantilly,* od pasa do kolan tiunika biała gazowa w liście tkane złotem, ramowana króciutkiemi strusiemi piórami w kolorze „tango“, biodra okolone frędzlą złotawą, tworzącą piękny deseń, nizko dekoltowany staniczek, cały pokryty takąż frędzlą oraz wielkiemi sznurami białych pereł.



Suknia balowa dla młodej mężatki.

Rycina druga przedstawia ulubienicę naszej publiczności, p. Lubicz-Sarnowską, w bardzo udanej i prześlicznej tualecie wizytowej: spódnica *moderne style* z materjału *double satin* w kolorze perłowym, na wierzchu długa bluza *aeroplan* w tym samym odcieniu, z adamaszku wytłaczanego *en relief* w piękne arabeski. Kapelusz toczek, czarny aksamitny z dwoma puszystemi, krótkiemi strusiemi piórami. Wielka róża przy obramowaniu szyi dopełnia tę wysoce artystyczną całość. *Marcèle.*



NA CZASIE

Z DZIEJÓW KOAFIURY.

Jeden ze współczesnych pisarzy francuskich nie bez pewnej racji twierdzi, iż wspólna wszystkim ludom namiętność do przystrajania swej doczesnej powłoki świadczy o lekceważeniu, ba, wstręcie nawet do natury; ileż to sposobów ubierania się i ozdabiania swej osoby dąży do zamaskowania naturalnych kształtów ciała: dość przytoczyć krynoliny, *paniers XVIII* wieku, powłóczyste szaty wieku poprzedniego, stroje odrodzenia i średniowiecza — że wspomnimy tylko stroje Europy w ciągu wieków i to tylko w sferach zamożnych. Możnaby w tej materji tomy napisać. Ograniczymy się tutaj do doraźnego rzutu oka na ewolucję jednego z najważniejszych elementów stroju — sposobu czesania włosów u kobiet europejskich.

Na miejscu naczelnem postawić należy modę grecką, tylokrotnie wznawianą w różnych odstępach czasu i do dziś dnia liczącą jeszcze gorliwie adeptki, w sferach artystycznych zwłaszcza, przechowujących kult dla antycznego smaku i prostoty... pozornej, gdyż zarówno Greczynki, jak i damy rzymskie za czasów republiki skromnemu „węzłowi greckiemu" dużo trudu i czasu poświęcały. Za cesarstwa widzimy już u rzymianek wielce skomplikowane koafiury, przeładowane szpilkami, perłami, przepaskami, pajetami wszelkich barw i kształtów. Włosy malują damy na wszelkie kolory, zaczynają nosić też peruki i „postisze". Moda na uczesanie zmieniała się wtedy tak szybko, że imperatorowe, nie chcąc, by ich posągi stały się za rok... niemodne, wymyśliły peruki... marmurowe do zdejmowania z posągów i zamiany na nowe.

Wieki średnie wprowadziły z początku uczesania proste, ozdabiane jedynie welonem lub wiankiem, lecz już wojny krzyżowe wniosły gust wschodni, otaczając głowy turbanem, zdobnym z perły i egrety. Lecz dopiero przy końcu *XIV* wieku, u przedświtu odrodzenia uczesania zaczęły się znów komplikować, aż wpadły w przesadę czepców-kołpaków ze sztywnemi wielkiemi skrzydłami, dla których musiano podwyższać podwoje komnat na zamkach feodalnych. Wreszcie ku końcowi XV wieku słynny *hennin* ustąpił miejsca uczesaniu z samych włosów, która to moda przetrwała do Franciszka I. Kołpaki średniowieczne były koafiurą Północy, gdyż jednocześnie włoszki zarania Renesansu czesały się z wyrafinowanym gustem i oryginalnie. Spojrzyjmy na głowy bogiń i madonn Botticelli'ego lub słynną „Piękną Simonettę", jak ją przedstawił Piero di Cosimo.



Koafiury z r. 1830 podług obrazu C. Begas'a.

Te mody ciągną się przez cały wiek XVI; damy noszą aksamitne czapeczki i zgrabne przybrania *en coeur,* zrobione z samych włosów. Tak czesała się Marja Medici i Gabryela d'Estrées, faworyta Henryka IV.

Wtedy też — i aż po dzień dzisiejszy modą w stroju kobiecym, a więc i uczesaniem poczęła kierować Francja, dzierżąc ster, którego żaden kraj wydrzeć jej nie mógł: damy z towarzystwa, a za nimi i ogół kobiecy z rozkoszą poddawał się despotyzmowi Wersalu, jak dziś poddaje się nakazom, idącym ze stolicy mody Paryża. Na początku panowania Ludwika *XIV* koafiury były dość skromne, lecz gdy pewnego dnia kochanka królewska de Fontanges przewiązała rozwiane na polowaniu włosy wstążką ognistej barwy, stało się to obowiązującem dla każdej elegantki. Niebawem do prostej kokardy z wstążki przybyły góry koronek, pasmanterji, kwiatów, loków — póki dbała o pozory dobrych obyczajów, surowa pani de Maintenon nie wyrugowała tych przybrań „rozpustnych": pojawił się znowu wstydliwy welon i skromne uczesanie.

Wiek *XVIII* otwiera epokę pudru i różu, panujących aż do upadku monarchii; pudrowano więc wysokie koafiury Regencji i nizkie Ludwika *XV,* pudrowano monumentalną architekturę koafiur à la Marie-Antoinette. Przy końcu stulecia widzimy istny szał perukowy: mamy uczesania *en papillon, en chien fou, en gueridon, en fregate,* odmian bez końca. Przychodzi burza rewolucji. Żegnaj peruko i pudrze! Republika na wszystkie głowy wsadza złowrogą czerwoną czapkę frygijską.

Lecz niebawem Dyrektorjat zaczyna wznawiać mody antyczne; pojawia się



Portret damy p-g Botticellego (w. XV).



Pani de Sevigné, p-g Nanteuil'a (wiek XVII).



Marja-Kryst. Austryjacka, p-g Zoffani'ego (w. XVIII).



Pani de Richemont, p-g Dawid'a (począt. w. XIX).





Ostatnie uczesania z wieku XX, podług współczesnych fotografji.

grecki *chignon;* za Cesarstwa wraca turban. Jest to jedyna wybitna inowacja epoki napoleońskiej w zakresie koafiury.

Wiek ubiegły stworzył uczesania tak różnorodne, skomplikowane i niekiedy wdzięczne, jak żaden inny. To samo można powiedzieć o początkach stulecia bieżącego, z zastrzeżeniem obfitości uczesań niegustownych i jaskrawych zmieniającej się w szalonym tempie życia współczesnego mody.

Jakież z tego szybkiego przeglądu wyciągnąć wnioski? Czyż są w zakresie koafiury jakie prawa do dyktowania, reguły czy rady? Tutaj, jak w sprawach mody wogóle, decyduje chęć podobania się. Życzyćby należało, by kierował nią takt i smak estetyczny obok wygody.

Lecz moda, kapryśna władczyni, zazwyczaj o to nie pyta: *sic volo, sic jubeo.*



Teatr Nowoczesny. Kujawiaki (z cyklu „Pieśni ludowe") w inscenizacji i z dekoracjami z motywów ludowych, projektowanemi przez cenionego estetyka M. Dienstla, zyskały prawdziwe i zasłużone uznanie publiczności. (Fot. St. Nofok-Sowiński).

VARIA.

Sarah Bernhardt udekorowana.

Nareszcie owa tak przez francuzów pożądana dekoracja, jedyny order Republiki, Legja Honorowa zawisła na piersiach Sary. Wielokrotne starania dotychczasowe głośnej na świat cały artystki dramatycznej — zdobycia zaszczytnej odznaki, rozbijały się o upór władz rzeczypospolitej, tem dziwniejszy, iż artystki-cudzoziemki, dzięki wpływym swych ambasad, nie potrzebowały tak długo czekać na czerwoną wstążeczkę, rozdawaną wogóle dość pohopnie, gdy idzie o ustosunkowanych, a niezawsze „zasłużonych" rodzaju męzkiego. Wreszcie dzięki staraniom obecnego ministra oświaty, Vivianiego nominacja stała się faktem, przyjętym entuzjastycznie przez rzeszę wielbicieli niezmordowanej w siódmym krzyżyku odtwórczyni rostandowskiego „Orlątka" i umierającej w kwiecie wieku „Damy kameljowej". Zwłaszcza po drugiej stronie kanału, gdzie Sara przyjmowana jest zawsze owacyjnie, odbiła się nominacja sympatycznem echem: ledwo wiadomość ta doszła do Londynu, nadszedł telegram gratulacyjny od wielbicieli i przyjaciół angielskich, pokryty tysiącem podpisów. Oczywiście najgoręcej przyjęto, a przynajmniej okazano radość z okazji udekorowania swej „patronki" w teatrze Sary Bernhardt: personel artystyczny i administracyjny teatru na placu Châtelet ofiarował jej dla upamiętnienia tego dnia symboliczny znak orderu, krzyż, wysadzony brylantami. Pozatem, z inicjatywy jednego z dzienników paryskich, pospieszyły z depeszami, winszującemi odznaczenia posiadające już legję Francuzki, śród których znalazły się i zamierzchłe sławy na polu artystycznem — dawniej bowiem nie było tak trudno o legję dla śpiewaczek i aktorek, jak obecnie, gdy jeno fjolety t. j. tak zwane „palmy akademickie" hojnie są przez ministerjum rozdawane. Pedantyzm biurokracji demokratycznej jest również ciężki, jak w państwach o ustroju monarchicznym: gdyby podziwiana od kilku dziesiątków lat aktorka była... profesorem konserwatorjum (dramat jest we Francji jednym z oddziałów tej rządowej uczelni) byłoby jej znacznie łatwiej zdobyć czerwoną wstążeczkę; lecz Sara tej kwalifikacji nie posiadała. Musiała więc cierpliwie czekać (a jest już mocno niemłodą) aż roztają lody oporu władz republikańskich, aż szczęśliwa konstelacja ministerjalna pozwoli Vivianiemu, który piastował tekę i w innym gabinecie, zadośćuczynić marzeniu znakomitej artystki i jej przyjaciół i wielbicieli, których posiada wielu w Europie i w Ameryce.

Obecnie sędziwa Sara, imponująca energją, talentem i pracą (obliczono, iż grywa około 500 razy co roku) otrzymała satysfakcję zupełną: prezydent Rzeczypospolitej, któremu etykieta „dworska" nie pozwoliła na przyjęcie artystki w pałacu Elizejskim, zjawił się w salonie recepcyjnym garderoby Sary w jej teatrze i w czasie antraktu w tych słowach złożył swój hołd najstarszej gwieździe sceny francuskiej:

„Od Kanady aż do Egiptu roznosi pani sławę literatury i sztuki francuskiej. Ta liczba wierszy, które srebrnym swoim głosem rzuciłaś w świat szeroki, rzeźbiła w uszach słuchaczów cześć dla naszej kultury. Nie waham się powiedzieć, że jesteś jej pionierką. Cześć ci za to, pani"!



MACIEJ WIERZBIŃSKI.
(Patrz str. 42 *Z literatury.* M. Wierzbiński „Oaza miłości" i „Małżeństwo na próbę").



WIKTOR DZIERŻANOWSKI.
(Patrz str. 41. *Z literatury.* W. Dzierżanowski „Mścisława czyli miłość poganki").

KRONIKA.

Szkoły i Kursy rolnicze dla włościan.

Nie trzeba nawet bacznie śledzić ruchu, który w ostanich latach wzmógł się na rzecz usiłowań społeczeństwa w kierunku oświaty i podniesienia kultury mas włościańskich, żeby nie dostrzedz zmian kardynalnych, które w tym czasie na korzyść tego ruchu zaszły. Społeczeństwo nasze, zdając sobie sprawę z sił żywotnych, odłogiem leżących dotychczas w masach chłopskich, sił, które umiejętnem wskazaniem do życia powołane i gorącem sercem zagrzane do czynu, niewyczerpaną skarbnicę dla kraju stanowić mogą, rozumnie pracuje dziś nad kulturą tej gleby dziewiczej, tak zasobnej w soki żywotne, które do niedawna jeszcze nie tknięte jasnym promieniem słońca w szarzyźnie nocy zaledwie nikłe, blade kiełki puściły na rzecz przyszłych plonów. Dziś, łan zboża rośnie i jakiś poszum otuchy i nadziei słychać „od tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem..."

Kraj nasz nie tyle przemysłowy ile



JOANNA DEVERA (Wertheimówna) w „Mignon". Występy gość. w Operze. (Patrz str. 39).



IRENA BIAŁKIEWICZÓWNA. Koncert kompozytorski w sali Hermana i Grossmana. (Patrz str. 39).



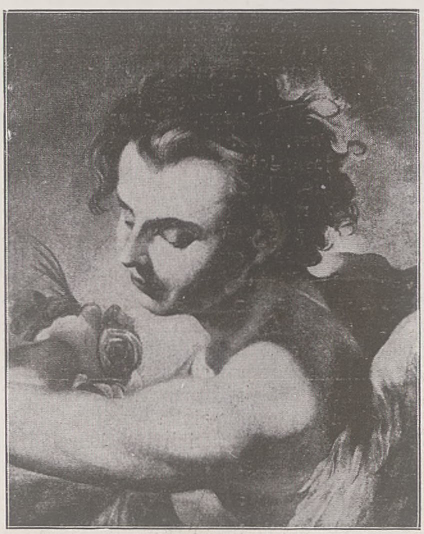
MARJA LABIA w „Thais". Występy gość. w Operze. (Patrz str. 39).

rolniczy — w pierwszym rzędzie nie na żywiole robotniczym fabrycznym swój byt ekonomiczno-kulturalny opierać winien, lecz przedewszystkiem na pracownikach rolnych, których miljony, świadome swych sił i dążeń, świadome rozumnie, a nie w półdzikiem agrarnem parciu pożądające ziemi, prawdziwą potęgę dla kraju stanowić mogą. Dobrobyt w znacznej części przyczynia się do zrównoważonej i celowej pracy, dając stalsze podstawy wszystkim zamierzeniom i, opartą na ekonomicznym czynniku, silną dźwignię kultury. Jedną z najważniejszych dróg do pozyskania tych dobrodziejstw życia jest znajomość fachu, dostosowana do postępu, wymagań i warunków czasu.

Tworzą się więc rolnicze szkoły i kursy po całym kraju; przeznaczone są dla małorolnych a warunki korzystania z nauki są tak dogodne, opłata tak nizka i uprzystępniona, że każdy kto ma tylko dobre chęci, czerpać może fachową wiedzę — wskaźnik, jak na zagonie ojczystym intensywnie pracować i rządzić się należy.

Poza szkołami i fermami rolniczemi z kursem kilkomiesięcznym, znakomite usługi oddają w tym kierunku również kilkodniowe kursy rolnicze. Sekcja szkolna C. T. R. organizuje np. corocznie w Warszawie 10-cio dniowe kursy dla rolników — praktyków. Kursy odbywały się w r. bież. między 14 a 24 stycznia. Obfity dobór tematów z dziedziny nauk przyrodniczo-rolniczych, meljoracji rolnych i organizacji gospodarstw wypełnił umiejętnie obmyślony program, wykładali zaś profesorowie specjaliści tej miary co S. Miklaszewski, S. Turczynowicz, inż. A. Ponikowski, inż. S. Biedrzycki, T. Matecki, Z. Pluciński, H. Smoliński, lek. wet. L. Zygler, lek. wet. M. Kossowski, dr. Z. Moczarski, W. Chmielewski, J. Golcz, J. Czaplicki, dr. J. Zawadzki, inż. J. Tuliszkowski. Opłata za cały kurs wynosiła rb. 10 a członkowie Tow. wz. pom. prac. roln. opłacali tylko rb. 6.

W tym też czasie odbyły się 3 dniowe kursy dla gospodyń małorolnych, urządzone staraniem Tow. Zjednoczonych Ziemianek. Na kursy przybyło 200 z górą niewiast różnego wieku, począwszy od dziewcząt dorastających, skończywszy na staruszkach 60-cio letnich. Słuchaczki przeważnie rekrutowały się z członkiń kółek włościańskich (t. zw. „czynnych"); uczęszczały codziennie na 5 lub 6 pogadanek na tematy gospodarcze, hygjeniczne i pedagogiczne, a zapytania i uwagi wypowiadane nieraz przez słuchaczki, świadczyły nietylko o przejęciu się wykładami lecz i o rozumieniu i objęciu tematu. Uczestniczki kursów zwiedzały również zbiory etnograficzne, szpitale, kościoły i t. p.



Dzieło A. Van Dycka odkryte w ostatnich tygodniach. Obraz przedstawia idealizowany autoportret z roku 1618.

Największą trudność stanowiło wyszukanie noclegu dla tak licznej rzeszy. Własny dom Tow. Zj. Ziemianek mógłby jedynie zadość uczynić tej tak naglącej potrzebie. Nieraz tułają się po Warszawie gromadki wieśniaczek, nie mogąc znaleźć odpowiedniego noclegu. To też Ziemianki usilnie zabiegają około zgromadzenia potrzebnego na „Dom" funduszu.

Przytoczyłem dwa przykłady na dobie kilkudniowych kursów rolniczych męskich i żeńskich w Warszawie; po-



Uczestniczki trzydniowych kursów dla włościanek, urządzonych staraniem Warsz. Koła Ziemianek.

dobne kursy wciąż tworzą się po kraju, instytucje społeczne i osoby dobrej woli w miarę swych sił i środków zabiegają bezustannie około sprawy tak ważnej, a nie poprzestając na kursach, tworzą również szkoły i fermy rolnicze, dając tym sposobem zasadnicze podwaliny przyszłej kulturze kraju.

Oby i nadal, jak w ostatnich latach, wciąż powstawały te placówki, tak potrzebne w naszych ciężkich warunkach oświatowych, ekonomicznych i społecznych. *Z.*

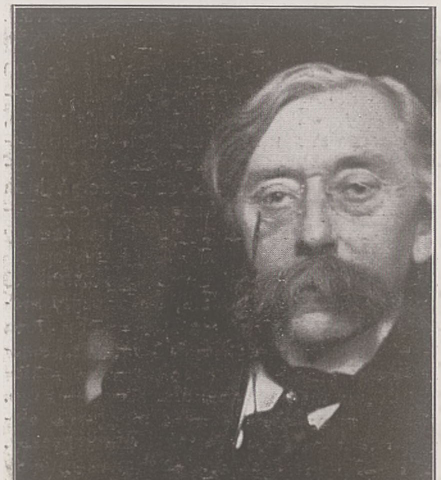


Dziesięciodniowe kursy dla rolników - praktyków, urządzone przez Sekcję szkolną C. T. R. Grupa uczestników kursów z ciałem profesorskiem.

Enver basza.

W Turcji u steru rządu stanął człowiek o wybitnej indywidualności, młody bo zaledwie 30 lat liczący Enver basza, a chociaż nie piastuje on jeszcze godności wielkiego wezyra w Porcie ottomańskiej, tem nie mniej jednak jako wszechwładny minister wojny, faktycznie naczelne rządy sprawuje. Enver jest zdecydowanym zwolennikiem polityki niemieckiej w kierownictwie spraw swej ojczyzny, którą fanatycznie kocha. Nie wchodzimy w to, czy sympatje germańskie nowego ministra wyjdą w przyszłości na dobre skołatanemu państwu, zaznaczyć jednak trzeba, że nowy dygnitarz godności swej nie uważa, jak jego niefortunni poprzednicy, za nominalną tylko, lecz rozwinął energiczną pracę nad dźwignięciem i odmłodzeniem wyczerpanej swej ojczyzny. Enver basza ma wiarę w swój czyn, ma silną wolę i wybitne zdolności strategiczne oraz organizatorskie. Nie od dziś znany jest jako mąż miary niepospolitej. Wsławił swe imię podczas wojny turecko-włoskiej w Afryce i okrył je również chwałą podczas ostatniej wojny bałkańskiej, przyczyniając się przedewszystkiem do odebrania Adrjanopola z rąk bułgarów.

Jakie owoce wydadzą rządy i usiłowania Envera baszy, przyszłość pokaże. To jednak już dziś przyznać należy, że Turcja zyskała człowieka wybitnych zdolności i czynu, a takich ludzi brak było dotychczas u steru rządu ottomańskiego.



EMIL VERHAEREN.

W ostatnich czasach odbyło się w Warszawie parę odczytów wybitnych cudzoziemców. Między innymi znakomity poeta belgijski Verhaeren wygłosił świetny odczyt na temat „Kultura entuzjazmu".

Tragiczny zgon piosenkarza.

Niezwykłą zbrodnię spełniono w Paryżu przed niedawnym czasem: z ręki ojca, 82-letniego starca, zginął słynny



ENVER BASZA,
nowy wszechwładny minister wojny w Turcji.

piosenkarz, Fragson. Był on niezawodzącą nigdy atrakcją pierwszorzędnych music-hall'ów Paryża i Londynu; muzykalny, wykwintny w swych *chansons*, unikający trywialnej treści kupletów, stanowił wyjątek nader pociągający śród ulubieńców publiczności, odwiedzającej renomowane *variétés* Paryża. Umiał Fragson połączyć w swych piosenkach sentyment angielski (był z pochodzenia anglikiem) z satyrą, cechującą współczesną piosenkę paryską, zarówno na Montmartrze, centrum dzisiejszem „kabaretów artystycznych", jak i na „lewym brzegu", w kilku ostatnich tego rodzaju lokalach dzielnicy łacińskiej. Fragson tą właściwością swego temperamentu nadał pewną szlachetność stylowi wykonywanych utworów, czego brak dwóm, od kilku lat najgłośniejszym na paryskim bruku szansonistom, Dranem'owi i Mayol'owi; obaj mają w sobie dużo z błaznów, humor ich jest dość podłego gatunku, no i... nie umieją śpiewać; swe pieprzne lub satyryczne kuplety właściwie mówią w takt melodji, akcentując od czasu do czasu wysiłek śpiewaczy... kogutem, ku uciesze publiczności, rozbawionej gestykulacją, dosadną mimiką swych ulubieńców, no i treścią samych utworów. Sentymentalni zaś piosenkarze paryscy należą do bardzo już starej gwardji, ociężałej i bez głosu i jako typ, są na wymarciu. Fragson, dobry śpiewak i wykwintny deklamator, łączył te dwie zalety swego talentu w całość, pełną wdzięku i finezji, gdy siadał do fortepianu. Że śmiercią jego znika z widowni Paryża ostatni może pieśniarz sentymentu, wolnego od pornografji, popularyzator piosenek wielu prawdziwych poetów.

Co do motywów potwornej zbrodni, należy ją tłumaczyć psychozą starca, mieszkającego wraz z synem w Paryżu i rozstrojonego ciągłemi starciami z przyjaciółką Fragsona, piękną korsykanką, która w ostatnich czasach również zainstalowała się we wspólnem mieszkaniu.

Kiedy w tragiczny wieczór Fragson powrócił do domu o godz. 9, by przebrać się na widowisko w Alhambrze, gdzie wystąpić miał tegoż wieczora, ledwie przestąpił próg mieszkania, strzał w tył głowy położył go trupem.

Aresztowany starzec tłumaczył mord „zaćmieniem" woli, gdyż nosił rewolwer w kieszeni z zamiarem jakoby odebrania życia sobie, jeśli syn nie zerwie stosunku z piękną Paulettą, której obecność była źródłem ciągłych zatargów i nieporozumień między cierpiącym na manję prześladowczą starcem a młodą kobietą.

ZMARLI.

Ś. p. Dr. Teodor Opęchowski.

W Charkowie zmarł znany profesor klinicysta, dr. Teodor Opęchowski. Zmarły profesor urodził się w r. 1856; początkowo kształcił się w zawodzie lekarskim na uniwersytecie w Kijowie, dalej — w ciągu kilku lat — w Berlinie, Strasburgu, Wiedniu, Paryżu i w Londynie. Po powrocie z zagranicy został docentem na uniwersytecie dorpackim, następnie wykładał w instytucie klinicznym w Petersburgu, a w roku 1892 objął katedrę profesorską terapeutyki i kliniki



Odtwarzanie sceny do kinematograficznego zdjęcia w klatce ze lwami.



P. HANNIBAL DE MEZA.

ZAŚLUBINY.

W kościele św. Aleksandra odbył się ślub p. Hannibala De Meza, arystokraty hiszpańskiego, właściciela plantacji na wyspie Kubie, z panną Zofją Zaleską, córką znanych w szerokich kołach towarzyskich obywatelstwa m. Warszawy i właścicieli dóbr na Ukrainie p.p. Tadeusza i Kazimiery z Nowakowskich Zaleskich. Pan młody przyrzekł kilka miesięcy do roku spędzać wraz z małżonką u nas w kraju, gdzie zamierza w tym celu nabyć dobra ziemskie. Jest to nader pożądany objaw przyjęcia obywatelstwa polskiego przez jednostkę, która działalnością swą i środkami może oddać duże korzyści naszemu rolnictwu i przemysłowi.



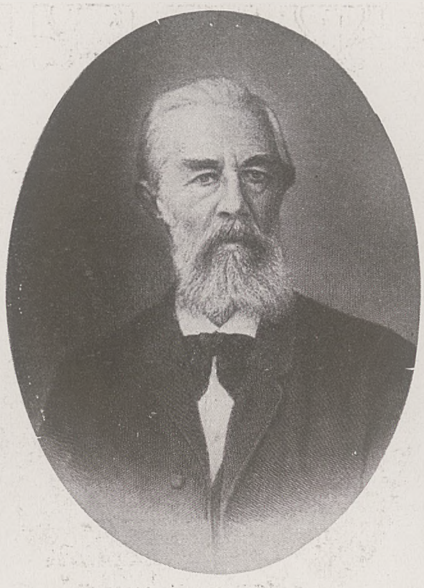
P. ZOFJA ZALESKA.



Gody brylantowe. Nestor inżynierów warszawskich, mający za sobą 70 lat praktyki na polu technicznem, b. inżynier naczelny g. Warszawskiej, p. Juljan Adam Majewski święcił wraz z małżonką, Zofją z Xiężopolskich, rzadką uroczystość 60-lecia pożycia małżeńskiego. Jubilatom składało życzenia mnóstwo osób ze wszystkich sfer naszej inteligencji.



Ś. p. dr Teodor Opęchowski, znakomity profesor klinicysta i uczony.



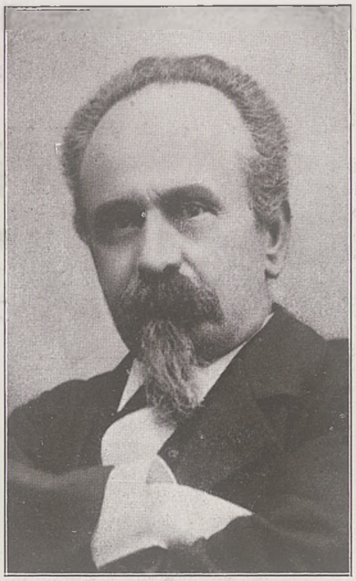
Dr. Henryk Brockhaus, główny właściciel znanej firmy nakładowej w Lipsku, zmarł w 84-ym roku życia.



Harry Fragson, popularny piosenkarz paryski, zabity przez własnego ojca.



Zmarły Menelik abisyński.



Ś. p. Józef E. Śmiechowski, członek hon. Tow. tatrz. i prezes kas rob. przy W. T. D.



Ś. p. Feliks Feliński, utalentowany artysta i zasłużony dyrektor teatrów prowinc.

szpitalnej w uniwersytecie w Charkowie, oraz obowiązki dyrektora tamtejszej kliniki uniwersyteckiej. W świecie naukowym znany był i wysoce ceniony, jako uczony głębokiej wiedzy, pozostawił też po sobie wiele dzieł naukowych, drukowanych przeważnie w języku niemieckim.

Ś. p. Felicjan Passakas-Feliński.

W ub. m. rozstał się z tym światem zasłużony dyrektor teatrów prowincjonalnych, utalentowany artysta i zacny obywatel, ś. p. Felicjan Passakas-Feliński. Urodzony w r. 1856 w Galicji, po ukończeniu gimnazjum we Lwowie, uczęszczał na wydział prawny uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, w roku zaś 1878 wstąpił do Tow. dram. pod kierunkiem Stanisława Dobrzańskiego, gdzie dał się poznać jako wybitny wykonawca ról charakterystycznych. Wkrótce stanął na czele trupy i odtąd już stale był dyrektorem teatrów w różnych miastach na prowincji, a nawet niekiedy i w Warszawie.

Ś. p. Józef Emeryk Śmiechowski.

Doczekawszy podeszłego wieku, zmarł w naszem mieście, przeżywszy lat 81, ś. p. Józef Emeryk Śmiechowski, jeden z najdawniejszych pracowników kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, bo od czasów b. Komisji Skarbu, od roku 1853.

Poza pracą zawodową, zmarły zajmował się również przed 30—40 laty pracą literacką, był współpracownikiem *Wolnych żartów, Kurjera niedzielnego Muchy, Kolców* i in. Duże zasługi położył dla turystyki krajowej, jako delegat na Królestwo Poskie Tow. tatrzańskiego w Krakowie. Instytucja ta w uznaniu jego zasług obdarzyła go wkońcu godnością członka honorowego. Poza tem ś. p. Śmiechowski był prezesem kas dla rzemieślników przy Warsz. Tow. Dobroczynności.

TRZECI MOST W WARSZAWIE.

Trzeci most.

Rok 1914 pamiętny będzie w historji urządzeń i meljoracji Warszawy, która w tym roku zyskała pierwszorzędną arterję komunikacyjną, budowę potężną i piękną — wspaniały, trzeci most na Wiśle, na którego ukończenie oczekiwaliśmy z takiem upragnieniem.

Głównym celem budowy nowego mostu było utworzenie dobrej komunikacji z przedmieściem Pragą, zmniejszenie ruchu na moście Kierbedzia, nadanie ruchowi ciężarowemu większej ilości kierunków, rozwój południowych dzielnic miasta i wreszcie zużytkowanie na korzyść miasta pustych przestrzeni Saskiej Kępy. Pozatem zyskała Warszawa piękne spacery na samym moście oraz w parku Skaryszewskim i na wale Miedzeszyńskim. Budowę mostu rozpoczęto w lecie 1904 roku, jako materjału do budowy używając wyłącznie żelaza i betonu. Most, utrzymany w stylu odrodzenia, tworzy piękną architektoniczną całość, będącą prawdziwą ozdobą naszego miasta. Estetyczne strażnice u wylotów mostu i wiaduktu stanowią również architektonicznie dobrze i pięknie obmyślany wskaźnik wjazdu. Wieczorem prawdziwie czarujące wrażenie odbieramy, gdy na wiadukcie i moście płonie kilkadziesiąt latarń elektrycznych, każda o sile 1000 świec. Zdaleka jaśnieje wówczas most promienną łuną, a niebieskie światła latarń kaskadą barw cudnie odbijają się w ciemnych falach Wisły.



Inż. Kom. MIECZYSŁAW MARSZEWSKI, inicjator i twórca projektu oraz naczelny inżynier budowy od r. 1904 do r. 1910



Inż. Kom. ALEKSY LUBICKI, naczelny inżynier budowy od r. 1910 do ukończenia.



Inż. Kom. Bronisław Plebiński, pomocnik naczelnego inżyniera i współautor projektu w dziale konstrukcji żelaznych.



Inż. Tech. Wacław Paszkowski, pom. naczelnego inż. i współautor projektu w dziale konstrukcji żelazno-betonowych.





Inż. Bud. Henryk Śliwicki. Akad. Arch. Stefan Szyller. Pomocnicy naczelnego inżyniera i współautorzy projektu w dziale architektury.



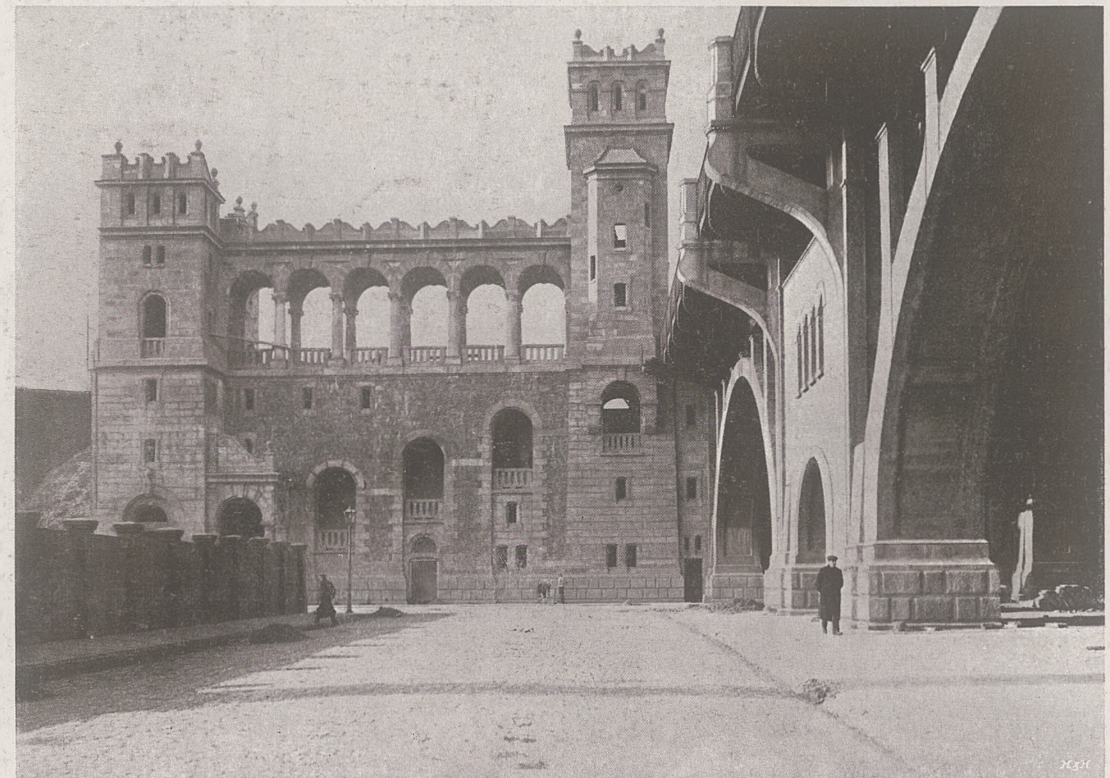
Inż. Bud. Wal. Dunin-Borkowski, inżyn. prowadzący roboty z ramienia firmy „K. Rudzki i S-ka".

Jak kolosalną jest budowa, daje pojęcie przedewszystkiem jej długość. Sam most ma długości 505 metrów, a wiadukt w Alei Jerozolimskiej 701 metrów, prócz tego dojazd od strony Pragi w kształcie nasypu ziemnego liczy długości 1080 metrów. Ogólna waga żelaznej konstrukcji wszystkich przęseł mostu wynosi 5028 tonn[1]), waga żelaza pomostu i pokładu na wiadukcie 5072 tonny i waga łożysk oporowych 230 tonn, a części metalowych mostu na łasze praskiej 70 tonn. Tak monumentalna budowa związana była z olbrzymiemi kosztami. Sam tylko most kosztował 3.403.641 rb., wiadukt w Alei Jerozolimskiej wraz z dojazdami 4.100.000 rb. i dojazd do mostu od strony Pragi 465.600 rb.; ogólny koszt budowy wynosi zatem sumę 7.969.241 rb.

Budową mostu zajmował się specjalny „Komitet Budowy mostu miejskiego w Warszawie oraz związanych z nim budowli" w którego skład wchodził prezydent m. Warszawy, vice-prezydent, delegat warsz. gen.-gubernatora, delegat fortecz. zarządu inżynierji, delegat zarządu dróg żelaznych, delegat Okręgu Komunik., starszy inżynier miasta, inż. wydz. budow. magistratu, trzech obywateli miejskich i naczelny inżynier budowy, którym od roku 1904 do 1910 był inż. komunikacji M. Marszewski, a od tego czasu do roku bieżącego inż. kom. A. Lubicki.

Dziś, gdy z dobrodziejstw nowej arterji korzysta już ludność miasta, możemy śmiało powiedzieć, że najpiękniejszy ten most w Polsce, przez macierzystą Wisłę potężnie przerzucony, jest nietylko ozdobą lecz i trwałym nowym czynnikiem dalszego rozwoju naszej stolicy.

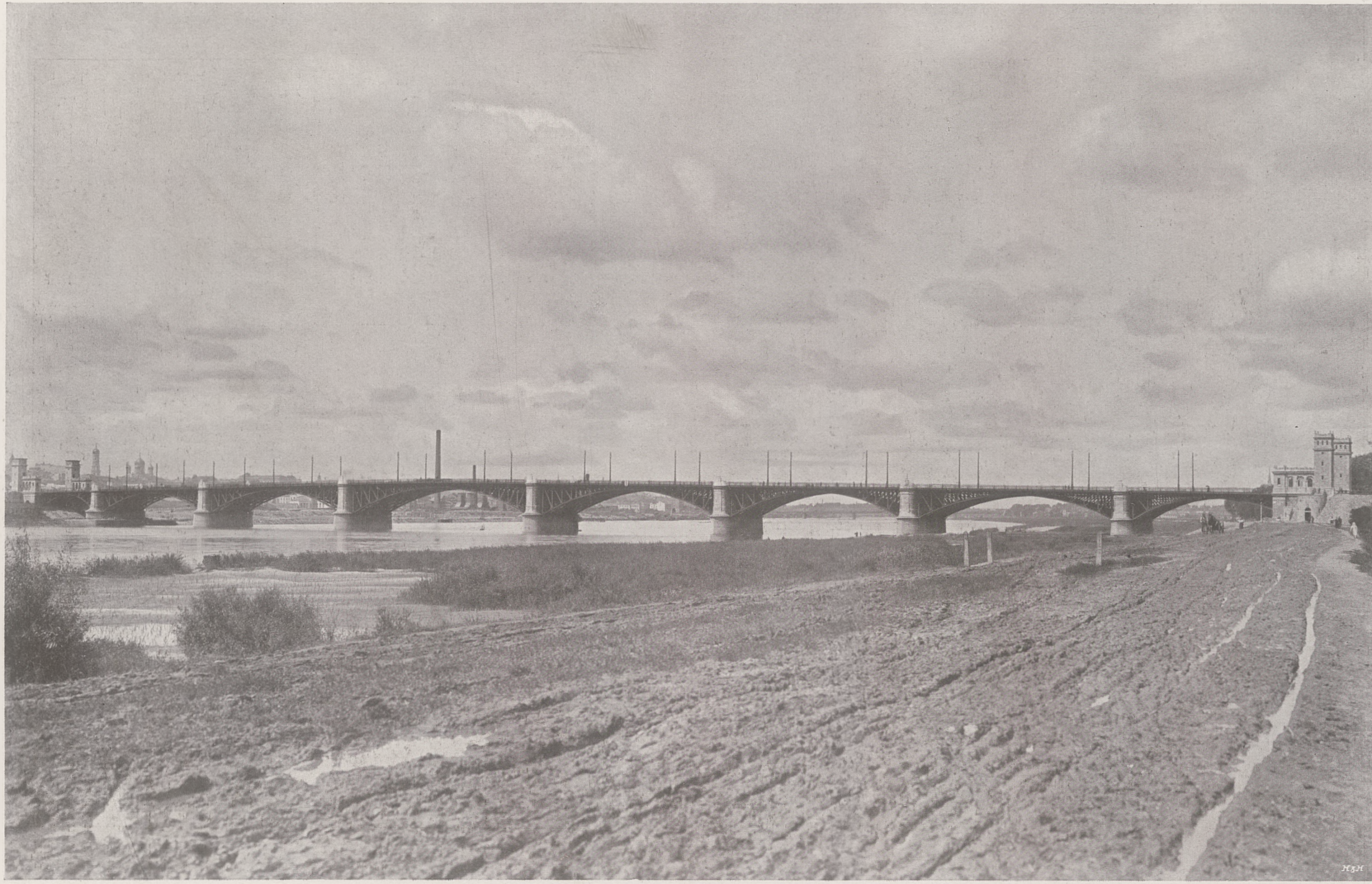
[1]) 1 tonna = 2445 ff. lub 1000 kilogramom.



Ściana oporowa przy ul. Smolnej.



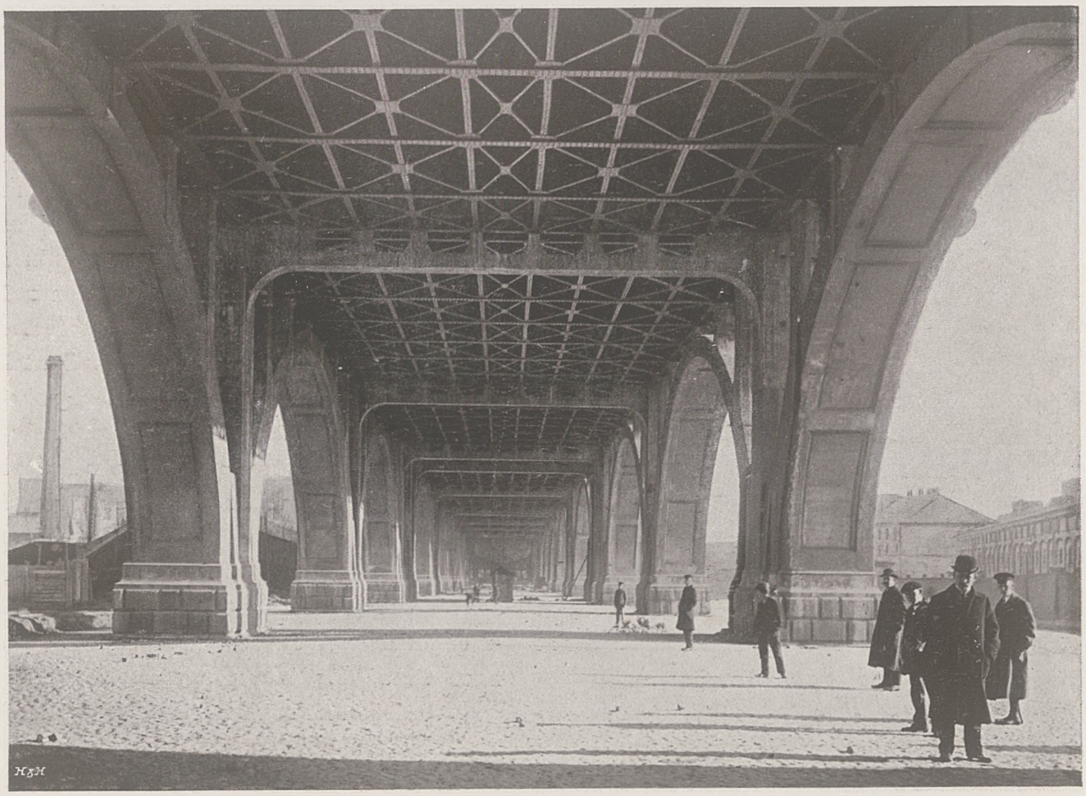
Zewnętrzny widok części wiaduktu w Alei Jerozolimskiej.



Ogólny widok mostu od strony Pragi.



Ogólny widok ślimakowego wjazdu na most.



Wewnętrzny widok części wiaduktu.

NOTATNIK.

Rolnictwo i przemysł.

☐ Ministerjum handlu i przemysłu wniosło do Rady Państwa projekt prawa o wychodźtwie, mający na względzie wychodźtwo do krajów europejskich. Projekt ma na celu z jednej strony ograniczenie wychodźtwa, z drugiej znów zapewnienie wychodźcom prawnej i moralnej opieki za granicą. Zaznaczyć należy że wychodźtwo sezonowe samego Królestwa Polskiego wynosi rocznie około 300.000 głów.

☐ Centr. Tow. Rolnicze przystępuje w roku bież. do utworzenia nowej wielkiej placówki kulturalnej, jaką będzie centralna stacja rolnicza. Rozpoczęcie dzieła zawdzięczyć należy w znacznej części zasiłkowi na budowę ze strony skarbu, który będzie udzielany rok rocznie w ciągu lat pięciu i wyniesie ogólną sumę rb. 307.245 z czego w r. bież. otrzyma C. T. R. rb. 64.800, a resztę w ratach w miarę postępu budowy. Gdy budowa będzie skończona, dalsze subsydjum rządu wynosić będzie rocznie po rb. 108.000. Stacja zorganizowana zostanie z następującymi oddziałami: meteorologji, chemji, botaniki stosowanej, walki ze szkodnikami, rolnictwa, hodowli i pododdziały: chemji rolniczej i kontroli produktów rolniczych, gleboznawstwa, bakterjologji rolniczej, bjologji, fizjologji, selekcji roślin, entomologji, mikologji, budowy maszyn i hodowli drobiu.

☐ Do komisji Dumy, rozważającej projekt prawa o zniesieniu serwitutów, z pośród polskich posłów należą pp. Marjan Kiniorski i Józef Nakonieczny.

☐ Dla podołania pracom mierniczym przy komasacji gruntów drobnej własności rolnej, zarząd mierniczy otwiera nowe szkoły miernicze i kursy specjalne w całem Państwie, celem przygotowania odpowiedniej ilości geometrów. Podniesiono również sprawę zcalania gruntów parafjalnych zajmowanych przez włościan na potrzeby kościołów.

☐ Zjednoczone Koło Ziemianek ogłosiło w organie swym *Ziemianki* konkurs dla czytelniczek z chat wiejskich na artykuł na tematy: 1) „Jakie rozrywki ma młodzież w naszej wsi?“ 2) „Jak się obchodzę z nabiałem i jak go zbywam“. 3) „Kupno i sprzedaż w mojej wsi“.

☐ Tow. pracow. handlowych i przemysłowych święciło w dniu 18 stycznia uroczystość inauguracji nowego gmachu własnego przy ulicy Siennej. Poświęcenia dokonał J. E. ks. Arcybiskup Kakowski. Fotografję gmachu umieściliśmy już w poprzednim numerze *Wsi i Dworu* wraz z opisem dotyczącym T-wa i budowy gmachu.

Teatr, muzyka i sztuki plastyczne.

☐ W operze Mignon wystąpiła gościnnie u nas wysoce utalentowana śpiewaczka Joanna Devera (Wertheimówna), wstępnym bojem jednając sobie publiczność i krytykę. Cudny sopran artystki o brzmieniu szlachetnego metalu, a przytem warunki korzystne i świetna gra aktorska tworzą całość porywającą widza i słuchacza.

☐ Słynna śpiewaczka Marja Labja występowała gościnnie w naszej Operze, jednając sobie prawdziwe uznanie świata artystycznego. Rola Santuzzy w „Rycerskości wieśniaczej“ i Neddy w „Pajacach“ wypadły znakomicie.

☐ Koncert świetnego kapelmistrza opery Adama Dołżyckiego odbył się w Filharmonji przy wyprzedanej sali. W wykonaniu utworów Wagnera wydobył Dołżycki ze znakomitej orkiestry Filharmonicznej taką moc uczucia i tak głęboką siłę tonu, że uplastyczniło nam się odrazu całe piękno i potęga wagnerowskiej muzyki. Był to wieczór, który pamięta się długo, i który w nas głębokie pozostawia wrażenie.

☐ W sali Hermana i Grossmana mieliśmy sposobność podziwiać wysoki poziom artystyczny znakomitego tria koncertowego, które tworzą: prof. B. Poźniak (fortep.), prof. H. Basserman (skrzypce) i H. Beyer (wiolonczela). Takiego zgrania i harmonji odtwórczej nietylko w kierunku technicznego kontaktu lecz również i w zgodności wirtuozowskiego pojęcia i odczucia utworów dawnośmy nie notowali. Trzy indywidualności złożyły się tu na jedną artystyczną harmonijną całość.

Zaznaczyć również należy występ w tejże sali p. Ireny Białkiewiczówny, młodej kompozytorki, pianistki, poetki i śpiewaczki. Natura hojnie obdarzyła talentami swą ulubienicę, której sonata d-moll jest utworem o nader wysokim poziomie artystycznym i cennych, świadczących o szczerym talencie melodjach.

☐ Warszawskie teatry rządowe miały w ciągu roku 1913 wpływów 1.202.871 rb., wydatków zaś—1.186.308 rb. W rubryce wpływów mieści się już haracz w postaci $^1/_6$ części od dochodów (brutto!) z prywatnych teatrów w naszem mieście.

Ofiarność publiczna.

☐ Zaznaczyć należy piękny akt ofiarności publicznej: oto ś. p. Onufry Olszewski z Chorzel w gub. Płockiej, cały swój majątek, dorobiony ciężką pracą, a wynoszący 15.000 rb. zapisał na cele społeczne.

Grajek z Cremony.

Noc letnia lipcowa rozpięła na niebie szafirową togę gwiaździstą, spiętą księżycem jak drogim opalem, wyciętym w kształt sierpa. Spała słodka Cremona nad zielonemi wodami Po, drzemały kamienne wysokie i wązkie domy średniowiecza, a księżyc ni to je srebrzył ni to pobielał, wydobywając z ich ścian jakąś jasność zamgloną i nieśmiałą.

Spali żywi, a na miejskim cmentarzu poruszały się ciężkie marmurowe posągi, chwiały skrzydłami smutne anioły, zniżały skronie i łamały ręce dziewice żałobne i drżała gęstwia białych nizkich marmurowych krzyżów. Czyżby to blask miesięczny wyczarowywał życie z rzeczy, nazwanych martwemi?...

Szeroką cmentarną aleją kroczył człowiek w ciemnym płaszczu, niosąc w jego fałdach rzecz jakąś pieczołowicie i ostrożnie. Z głową pochyloną szedł— krokiem drobnym starczym i zatrzymał się wreszcie przed jedną z mogił, gdzie krzyż wkląśnięty w ziemię świadczył, iż bardzo już dawno śpi tam ktoś snem nieprzerwanym. Zatarł czas wykute na krzyżu imię i daty, zmył je deszcz; zwietrzały drobinki kamienia, pragnące przedłużyć czyjeś znikome trwanie...

Człowiek ukląkł na mogile, i przybył cmentarzowi jeszcze jeden posąg, zgięty w niemym wyrazie błagania, niby modlitwa zaklęta w kamień. A później wstał i z zawojów płaszcza, powoli i z pietyzmem, wyjął... skrzypce.

Był to Stradivarius.

Dziś skończył rok dziewięćdziesiąty i trzeci, już się oń czas niezbłagany upomina i duch jego czuje, że mu już niezbyt długo pielgrzymować po tej ziemi.

Ujął Stradivarius skrzypce w dłonie od wzruszenia drżące i począł grać.

Grał swojej narzeczonej.

Umarła mu ta złocistowłosa tylko siedmdziesiąt pięć lat temu, a przychodzi weselić ją dzisiaj śpiewem swej skrzypki. I popłynęła pieśń, radosna pieśń, — pieśń nigdy nie umierającej miłości:

— Oto już idę ku tobie, gołębico moja!

Szaty malowane zorzą wdzięczne ciało twoje spowijają.

Piękna jesteś i smukła jak łania.

Twarz twoja i ramiona jako marmur Pentelikonu.

Usta twoje jak jagody malin.

Oczy twoje jak zielone wody naszej Po rodzinnej.

Zęby twoje białe jako piana fal.

Rączki twoje jak lilje i stopki twoje jako kwiaty śnieżne.

Otom twój oblubieniec i idę ku tobie, a ty czekasz na mnie.

Czekasz dostojna i piękna w płaszczu włosów świetlistych.

Czekasz, wdzięczna, rozmarzona i pragnąca.

Idę ku tobie stęskniony, rozradowany, pełny drżenia.

Idę wybrany z miljonów żyjących na ziemi.

Drżą struny skrzypiec w melodji przedziwnej,— marmurowych krzyżów las słucha i pochyla czoła... Mogiły roztwierają wnętrza i legjon cieniów błękitnych pląsa w takt pieśni. A na ich czele królowa — młodziutka złotowłosa narzeczona w sukni śnieżystej...

— Nie umarła miłość! Nie umiera miłość — gra Stradivarius.

— Otom chodził pół wieku i wieku ćwierć po ścieżkach świata, a nie zapomniałem śladu twej stopy, odciśniętej w złotym piasku nadrzecznym.

Otom słyszał dźwięków oceany, brzmień powodzie, a nie zgłuszyły dźwięku imienia twojego.

Oto na skrzypcach moich budziłem rzeki melodji, kaskady drżeń, głębie tonów, a nie przepomniałem maleńkiego dźwięku mowy twej kryształowej.

I ten jedyny pocałunek w noc księżycową, w noc taką jak dzisiejsza, kiedy na zielonych wodach Po migotały błyski księżyca, niby srebrny haft na aksamitnym płaszczu książęcym.

O ty, najdroższa moja!

. . . .

Drżą struny skrzypiec w melodji przedziwnej. Zaszeleścił wiatr leciuchny między krzewami, zatrzęsły się sztywne bluszczów listeczki dreszczem

niespodziewanym, drgnęły nieruchome tuje i po zimnych marmurach przebiegł różowy błysk czucia.

Cienie błękitne otoczyły grajka w krąg wieńcem poszóstnym, a on we środku stoi, przygarbiony nieco, o długich włosach białych, a u nóg jego cień złocistej dziewczyny.

Stradivarius gra...

— O, piękna! O, najcudniejsza moja!

Przetęskniłem życie całe...

A nie rzucałem łez po całunach, łez nie siałem po twojej mogile...

Tylko cię w sercu ukryłem słoneczną i żywą.

Kłamstwem jest, jakobyś umarła.

Ukryto cię w trumnie na posłaniu z pierwiosnków, aby serce miłości mojej wypróbować.

Przywalono cię ziemią, aby tęsknotę moją nauczyć, jak cię ma wyczarowywać z powietrza i słońca.

Byłaś mi obecną w każdej chwili życia, czy to los chłostał mnie, czy pieścił. Szeptałem ci do ucha skargi i nadzieje, radości i zawody, a ty słuchałaś mnie cierpliwa zawsze i uśmiechnięta.

Miłość jest wieczna, nie przemija miłość.

. . . .

Stradivarius grał...

A wian duchów ścieśnił się w leciuchnym wirowaniu. Sześć kręgów jeden nad drugim zawisło, i stanął grajek jak w kopule, a tony skrzypiec przygłuchły i stłumione leciały na rosy cmentarne:

— A kiedy się czas bytowania mego na ziemi skończy, pójdę za tobą ku niebiosom, a ty mi bramy rajskie otworzysz.

Pastereczko moja!

Buchnie światło falą złotą i różową, a ty mnie za rękę weźmiesz i w tę światłość wwiedziesz.

Pastereczko moja!...

Usiądziemy na zielonej rajskiej murawie, na kolanach mi główkę położysz, a ja się w twoje oczy świetliste zapatrzę — i tak już na wieki...

. . . .

Podniósł się z ziemi cień dziewczyny w kopule duchów.

Zarzuciła grajkowi ręce na szyję, uścisnęła go mocno, mocno...

. . . .

Rozbielił się świt. Na mogile jakoby świeżo poruszonej leżał bez czucia siwowłosy grajek z ustami przytulonemi do skrzypek w miłosnym pocałunku.

. . . .

. . . .

Był że kiedy grajek z Cremony? pytasz mnie, o piękna kochanko moja.

Był Stradivarius.

I miasto Cremona wdzięczy się nad wodami Po i na cremońskim cmentarzu stoi las białych marmurowych krzyżów.

Czy leży tam narzeczona Grajka? pytasz mnie, kochanko moja.

Tak, tam leży narzeczona grajka, było jej na imię Speranza... Słyszysz, Speranza!...

Umarła i wiecznie żywa i aż do śmierci ukochana. Deszcz i wicher starły jej imię z marmurowego krzyża, ale ja wiem, że tam było wyryte: *Speranza.*

Czy umarł grajek tam na cmentarzu, w tę noc? pytasz mnie z przerażeniem.

No i cóżby w tem było dziwnego? Miał lat dziewięćdziesiąt i trzy, mógł umrzeć.

Ale on nie umarł, *Stradivarius nie umarł, tylko upadł bez czucia.*

Stradivarius śpiewał nieśmiertelną pieśń miłości i umrzeć nie mógł.

A czemu ja ci to wszystko mówię, kochanko?

Bo tyś jest Amor, Amor, Amore!

Bo co rano wychodzęć witać z kadzielnicą najwonniejszych dymów.

Bo co wieczór śpiewam ci hymn pochwalny...

Ty się śmiejesz?

Jakże mi przykro!

O, Amor, Amor, Amore!

Zofja Wojnarowska.

Z LITERATURY.

Wiktor Dzierżanowski. „Mścisława czyli miłość poganki", szkic do poematu dramatycznego w 3 obrazach, str. 73. Nakład „Echa lit.-art."

Liryzm mści się najczęściej, gdy poeta pragnie przeistoczyć się w dramaturga. Znamy dramaty o cudnych poetyckich nastrojach, pełnych barw i połysku, o formie kunsztownej, rymach wyszukanych, dramaty, które, chociaż złożyła je na ołtarzu sztuki wytworna dłoń poety—nie targnęły jednak silniej strunami serc naszych, nic trwalszego nie pozostawiły nam w duszy...

Znamy dramaty, których djalog nie błyszczy szlachetnym klejnotem formy poetyckiej, twardy jest i niekiedy chropowaty, o rymach niewyszukanych, rażących nawet pospolitym tonem, a jednak, mimo wszystko, czyż nieraz dramaty te nie składały się w całości swej na potężny krzyk ducha, na szlachetną nutę, brzmiącą pełnią dramatycznego wyrazu.

To wszystko nie jest przecież regułą, lecz — ewentualnością, powtarzającą się nader często. Pomnąc o tej mściwości liryzmu, z pewnym sceptycyzmem brałem do ręki pierwszy utwór dramatyczny Dzierżanowskiego, utalentowanego poety-liryka, autora dwuch tomów szczerych i pięknych poezji.

Dramatu swego „Mścisławy" nie nazwał jednak Dzierżanowski dramatem lecz, snadź przez zbytnią skromność, tylko szkicem do poematu dramatycznego, choć w gruncie rzeczy jest to utwór pojęty jako dramat i jako dramat odczuty. Równie dobrze możnaby nazwać powieść naprzykład szkicem do powieści poetyckiej, choć byłby to

w rzeczywistości utwór, stanowiący w sobie skończoną całość pod względem myśli, akcji i tematu.

Tak też jest i z „Mścisławą“: widzimy tam całość, ujętą w formę skończonej akcji, myśl odpowiednio do tego przeprowadzoną i temat, który, nie przeczę, mógłby być rozwinięty jeszcze szerzej, lecz który w założeniu „Mścisławy“ potrzeby tego rozszerzenia nie nastręcza. Uważać więc należy „Mścisławę“ za utwór najzupełniej ukończony w przeprowadzeniu dramatu pogańskiej duszy Mieszka w starciu z namiętną miłością poganki Mścisławy.

Mieszko, półdziki jeszcze „kneź“ w pogaństwie drzemiącej Polski, nadewszystko miłujący swą ziemię i lud, żywiołowo nienawidząc niemców, pustoszących jego kraj i zbierających daninę, zaczyna powątpiewać o mocy swych pogańskich bogów, którzy nie mają snadź władzy, by ziemie jego przed wrogami uchronić. W duszy Mieszka toczy się walka, gdy księża i posłowie czescy ofiarują mu ręką księżniczki Dobrawki, wzamian za przyjęcie wraz z całym narodem wiary chrześcijańskiej i wyrzeczenie się prastarych bogów swego ludu. Wkońcu jednak przeważa na szali wahań knezia myśl, że może przecież Bóg chrześcijański potężniejszym się okaże niż bogi pogańskie. „Kneź“ więc, nie zdolen jeszcze swem prostaczem sercem wgłębić się w ideę chrystjanizmu, bierze rzecz realnie, żądając od nowego Boga, wzamian za przyjęcie nowej wiary, zapewnienia korzyści krajowi i pomocy przeciw ciemiężycielom:

Lecz pomnij! Za moje serce,
Żądam pomocy od ciebie,
Byś ogniem ukrytym w niebie
Poraził ludu morderce,
Co ziemię moją pustoszą!

Umiłowanie ludu i ziemi rozstrzyga więc w danym razie o postanowieniach Mieszka.

Lecz wówczas przeciwstawia się miłości altruistycznej „knezia“ namiętna miłość jednej z jego żon — Mścisławy. Mścisława kocha Mieszka pełnią swej żywiołowej natury, chce go mieć niepodzielnie i czuje że straci go na zawsze, jeżeli dopuści do związku z Dobrawką. Jak widzimy, w Mścisławie nie umiłowanie wiary ojców lecz umiłowanie kochanka jest główną przyczyną działań i postanowień.

Dwie główne postacie dramatu, Mieszka i Mścisława są najtrafniej oddane i najlepiej w psychologji swej ujęte. Bledziej już wychodzi postać Zbigniewa, który chciał wyzyskać chwilę by posiąść tron i Mścisławę. Gdy neofita Mieszko, po przyjęciu chrztu, dąży z Dobrawką i księżmi by lud nawrócić, Zbigniew rzuca się nań z mieczem w dłoni, lecz wówczas miłość poganki ochrania kochanka: Mścisława chwyta miecz, wiszący u boku Mieszka i zabija Zbigniewa, sama zaś po tym czynie ucieka. Czyn kochanicy wywiera jednak wpływ nagły na Mieszka, który porzuca orszak i dąży za Mścisławą, lecz wtedy staje przed nim wizja niemieckiej przemocy... to zniewala znów Mieszka do trzeźwego myślenia o losie kraju; powraca kneź do Dobrawki, dobrej pośredniczki między nim a Bogiem chrześcijańskim i trwałego ogniwa przymierza między Polską a Czechami.

W realistycznym dramacie Dzierżanowskiego nie dość jest usprawiedliwiona wizja, czy też, jak chce autor, halucynacja, której ulega Mieszko, gdy jawią mu się w końcu trzeciego aktu postacie niemców, nie jest to bowiem ani emanacją poprzednich wypadków i bezpośrednim fatalistycznym ich wynikiem ani też skutkiem naturalnym stanu psychicznego Mieszka.

Bohater bowiem dramatu przedstawiony jest jako człowiek zdrowy, silny fizycznie, prosty, realnie myślący, daleki od wszelkich marzycielskich porywów i egzaltacji. Takich jednak nieuzasadnionych przypadkowości, poza wspomnianą niema więcej w dramacie Dzierżanowskiego.

Akcja dramatu toczy się swobodnie, bez naciągnięć i zbytecznych efektów scenicznych. Wogóle utwór znamionuje szczerość myśli i prostota, bynajmniej nie rażąca przy tak realistycznie pojętym dramacie z tej epoki, dalekim od wszelkich symbolicznych nastrojów, mistycyzmu i abstrakcyjnych fantastyczności — elementów, wymagających pogłębienia dramatycznego i usubtelnienia wyrazu.

Liryzm poety nie zemścił się tym razem na poecie-dramaturgu; Dzierżanowski zbudował swój utwór z poczuciem nerwu dramatycznego i ubrał go w piękną szatę poetyckiej formy. *W. Z.*

Maciej Wierzbiński: „Oaza miłości“. Powieść z życia komunistów. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str 277. „Małżeństwo na próbę“ Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 248.

Idee komunistyczne sięgają odległej starożytności. Już Faleas chalcedończyk domagał się dla każdego równego wykształcenia i posiadania równych cząstek ziemi. Tej równości podziału ziemi dla wszystkich żądał również Hippodanos z Miletu. Takąż samą wspólność dóbr zalecał Epikur i Pytagorejczycy. W XIII wieku komunizm stworzył sektę religijną „Fratres et sorores liberi spiritus“. W XIX zaś wieku Robert Owen założył w Ameryce Północnej kolonję komunistyczną „New-Harmony“, która dotrwała do roku 1826. Zasadą komunizmu jest zniesienie wszelkich różnic między ludźmi, przedewszystkiem zaś własności prywatnej a na jej miejsce wprowadzenie wspólności dóbr wszystkich obywateli, w ten sposób, żeby każdy mógł poświęcić owoc swej pracy dobru społecznemu a z niego dopiero otrzymać równą część dla siebie.

W miarę oddalania się od początków kształtowania się idei komunistycznej, komunizm napotykał coraz więcej trudności i przeszkód do wcielenia się w formę społeczną. Życie starożytne i średniowieczne były mniej złożone i skomplikowane pod względem ekonomiczno-społecznym, niż dzisiejsze, to też i idee podobne podatniejszy znajdowały grunt dla zakorzenienia się w organizmie państwowym. Dziś, wobec zwycięstwa kapitału nad pracą, wprowadzenie idei komunistycznej w życie należy odnieść do planów nieokreślonej przyszłości.

Wierzbiński w powieści swej „Oaza miłości“ próbuje skreślić obraz gminy komunistycznej, na podłożu współczesnych warunków ekonomiczno-społecznych powstałej.

W tym celu przenosi nas do hrabstwa Essex, w którem znajduje się kolonja Purleigh, zamieszkała przez komunistów.

Głównem ogniwem, łączącem mieszkańców wspomnianej kolonii, jest miłość wzajemna i wolność w wyborze pracy. Brak „przymusu“ wytworzył w duszach członków kolonii poczucie dobrowolnej ofiary z czynów na rzecz dobra ogólnego. Wyrugowanie pieniędzy ze stosunków międzyludzkich wyzwoliło jednostkę z pod jarzma kapitału, czyniąc ją bezinteresowną w intencjach, gotową do usług dla bliźnich w imię miłości braterskiej.

Takie jednak stowarzyszenie, oparte jedynie na dobrej woli członków, na swobodzie życia, powściąganej li tylko wrażliwością sumienia, regulowanej miłością jednych dla drugich, musiało posiąść charakter wyjątkowy, stworzyć odrębność zupełną. Słusznie przeto autor nazwał swą powieść „Oazą miłości“.

Ciągłe zatargi stowarzyszonych komunistów ze światem, rządzonym prawami, opartemi na własności i kapitale, stanowią tło powieści, na którem autor szkicuje postacie głów-

nych bohaterów: Crosstona, założyciela kolonii w Purleigh i jednocześnie administratora i opiekuna, Fena, jak gdyby kapłan idei, pani Anny i Natalki, wyznawczyń idei, Hansa, nieszczęśliwego podpalacza, mszczącego się za krzywdy, wyrządzone kolonii, oraz M. Darlingtona, dziennikarza-anglika.

Powieść budzi duże zainteresowanie, zmuszając czytelnika do zastanowienia się nad niejedną kwestją poważną, co stanowi główną zaletę i wartość utworu.

W drugiej swojej powieści „Małżeństwo na próbę" Wierzbiński przedstawia typ „literata" Rostaneckiego, który wygłasza tego rodzaju zdania i stosuje się do nich w życiu:

„Wobec nudów rozsiewanych przez cnotę dziwię się dalibóg, że tyle kobiet hołduje jej jeszcze... cnota to całkiem marne przedsiębiorstwo, w którem kobieta nie wychodzi nawet na swe koszty".

„Cnota kobiety ma swą wartość tylko do dwudziestego pierwszego roku życia, poczem staje się coraz nieznośniejszym ciężarem".

„Moralność jest jak towar niemiecki: tanią i kiepską— kruchą rzeczą. Każdy może ją nabyć za trochę tchórzostwa, owczego instynktu i bezmyślności".

„Nic nie reklamuje nowoczesnego człowieka tak doskonale, jak elegancki, bezczelny grzech, nic nie spycha go więcej w cień, niż tuzinkowość, dobroć, szlachetność".

Znudzony łatwem powodzeniem u kobiet z półświatka, aktorek kabaretowych, różnych Ziutek i Niutek, „literat", goszcząc na wsi u znajomych, zapragnął skosztować miłości Basi, młodego, niewinnego dziewczęcia, które, wyrwawszy się z objęć Rostaneckiego, gdy ten ją niespodzianie pragnął uścisnąć w zapale miłosnym, wyszeptało, wzruszone jego poprzedniemi zwierzeniami: „Bardzo mi pana żal... Dawniej marzyłam, że przyjdzie ktoś do mnie, co potrzebować mnie będzie w walce życiowej — ktoś, dla którego mogłabym żyć... Ale mężczyźni zbliżali się do mnie w poszukiwaniu... jakiejś gryzącej substancji nerwowej, której nie znajdowali we mnie. I ja nie znajdowałam w nich nic, co byłoby godnem istotnego szacunku i co upewniłoby mnie, że potrzeba im mego serca i mego życia".

„Literat" przekonał wkrótce Basię że on jest tym jedynym, potrzebującym jej serca i życia, że bez niej żyć nie może.

Rozkochana w nim Basia w bezgranicznej „dobroci" serca wyznaje: „Byłabym szczęśliwą, gdybym mogła poświęcić się dla pana... otoczyć go pogodą, jasnością, dać mu niepamięć obojętności, zawiści ludzkiej, oschłości serc, walki wśród ludzi-wilków... Poczułam w sobie jakieś powołanie i wierzę, że taką jesł misja kobiety na ziemi".

Znając jednak zapatrywania Rostaneckiego na kwestję małżeństwa, utrzymującego, że „oficjalna przysięga ślubna jest wynikiem i dowodem nieufności i niewiary, jest jawnem przyznaniem się do słabości, uchybieniem swemu ja, pozornem umacnianiem uczucia, teatralnym pokazem miłości, wystawieniem weksla na przyszłość, nieobliczalną i nieznaną bo zawisłą od mocy, nad któremi wcale nie panujemy" —zgadza się zostać jego żoną bez ślubu, żyć z nim w „małżeństwie na próbę", bowiem „wszystko jest proste, gdy się kocha".

Dobroć i miłość Basi rozbraja ostatecznie „literata". Czuje on, że „i niemodna cnota, czystość, prostota, o ile są fijołkami ukrytemi w trawach, posiadają swą przedziwną woń balsamiczną", że „nie mógłby istnieć bez swej Basi, jak dziecko bez matki".

Mimo to nie ma odwagi stanąć na ślubnym kobiercu z Basią. Dopiero okoliczności, potężniejsze od wszelkich „filozofowań" egoistycznych, wyjazd dziewczęcia do chorej ciotki, decydują o stanowczym kroku „literata".

Rostaneckiego ogarnia lęk, że utraci ukochaną dziewczynę. Pragnąc temu zapobiedz, postanawia poślubić ją — i z tą propozycją udaje się do Basi.

Dlaczego się ociągał ze ślubem? Dlatego „aby Basia miała sposobność przekonania się, że istnieją na świecie kobiety, z któremi małżeństwo jest istotnym aktem ślubnym dwojga dusz i istot".

Zwyciężony przez „dobroć" Basi, przychodzi do przekonania, że „kobiety usiłując dorównać mężczyźnie na wszystkich polach, prześcignąć go, pokonać w znojnej pracy, w tysiącznych zabiegach, zapomniały, że jest wśród szczytów jeden, na którego zenicie od czasów Chrystusowych nie stanęła stopa męska, że jest szczyt, jakby wyłącznie dla kobiety przeznaczony, a sięgający w niebiańską sferę, którego imieniem: *Dobroć*."

Całe szczęście, że tacy „literaci" Rostaneccy egzystują przeważnie... w powieści, jak również tego rodzaju łatwowierne, naiwne i ryzykujące Basie, gdyż w życiu rzadko kiedy „małżeństwa na próbę" kończą się dla stron obu pomyślnie. *W. D.*

Nowości wydawnicze.

Duszom w odlocie. IV serja poezji. Napisał Władysław Zalewski. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1913.

Janusz Korczak: *Bobo.* Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka. 1914.

Ignacy Baranowski. *Wieś i folwark.* Studja z dziejów agrarnych Polski. Warszawa. Nakładem księgarni W. Jakowickiego. Poznań. M. Niemierkiewicz. 1914.

Z czasopism.

* Ostatni zeszyt redagowanego przez Wł. Bukowińskiego *Sfinksa* przynosi, jak zwykle, dobór interesującej treści, ozdobionej licznemi rysunkami i winietami, na których czele postawić należy jednobarwną reprodukcję obrazu Burne Jones'a, *Flamma Vestalis* na okładce. Znajdujemy w nim dwie odezwy redakcyjne: Do Czytelników i Przyjaciół „Sfinksa" oraz „Konkurs poetycki Sfinksa", a dalej: *Władysław Bukowiński:* Z Prometeuszów rodu; *Walery Gostomski:* Stosunki włosko-polskie ongi i dziś; *Jan Lemański:* Strajk złoczyńców, oryginalnie pomyślana „utopia"; *Jakób Lewkowicz:* Pozytywizm i krytycyzm; *Zygmunt Michałowski:* Wydarte karty (nowela); *Andrzej Boleski:* Rozum i wiara (uwagi wstępne do pracy Sorela); *Jerzy Sorel:* Przełom w myśli katolickiej (przełożył *Andrzej Boleski;*) *Marja Wyżdżanka:* Cztery liryki; *Roman Kreczmar:* Budzą się echa; *Wila Zyndram-Kościałkowska:* Z beletrystyki włoskiej; Ciąg dalszy ciekawej powieści *Zofji Rygier-Nałkowskiej* p. t. „Węże i róże"; *Jan Kleczyński:* O Mehofferze, Wystawie teatralnej i innych; *Jerzy Bukowiński:* Z Teatru Polskiego; *A. Żabłocki:* Wrażenia muzyczne; *St. Pyrowicz:* Momenty polityczne. Kończy tom feljoton zbiorowy „Nurty", Bibljografja i starannie prowadzony Przegląd prasy.

* Wyszedł pierwszy numer nowego miesięcznika *Myśl Polska*, poświęconego sprawom politycznym, społecznym i literacko-artystycznym. Nowe czasopismo wychodzi w Warszawie pod redakcją d-ra fil. Wacława Orłowskiego i nie będąc organem partyjnym, dążyć będzie, jak zapowiada redakcja, do utworzenia silniejszej łączności kulturalnej, duchowej i narodowej pomiędzy trzema dzielnicami Polski, ożywionej szczerym duchem polskim. W 1-ym zeszycie *Myśli Polskiej* znajdujemy prace następujące: *Wincenty Rzymowski:* Z marzeń demokratyzmu polskiego; *Prof. Marjan Zdziechowski:* Filozofja i życie; *Eugenjusz Krasuski:* Głosy wśród nocy; *Gustaw Daniłowski:* Rehabilitacja; *Artur Chojecki:* (Z Alberta Samain'a); *Karol Irzykowski:* O perfidji; *Leon Wasilewski:* Rosjanie a ruch ukraiński; *Leon Brun:* Zawierucha bałkańska; *Jerzy Kurnatowski:* Klasyfikacja ubezpieczeń robotniczych; *Władysław Studnicki:* Stosunki niemiecko-rosyjskie; *L. B.:* Dokoła samorządu; *Internus:* Korespondencja z Wiednia; *K. Wroczyński:* Raptularz teatralny; *Wacław Orłowski:* Od redakcji. Rozmaitość treści i dobór piór dobrze świadczą o ruchliwości redakcji młodego pisma, któremu życzymy pomyślnego rozwoju i powodzenia na nowej placówce w poważnej prasie naszej.

* W Moskwie pod redakcją utalentowanego poety, Remigjusza Kwiatowskiego zaczął od Nowego Roku wychodzić tygodnik ilustrowany *Głos Polski.* O potrzebie takiej placówki na obczyźnie zbyteczne się rozwodzić; pismo, mające powagę ludu i kompetencji, szlachetność ducha i piękność formy, śmiało służące sprawie polskiej na obcym gruncie, niosące tchnienie szerokiej cywilizacji po wielkim trakcie z zachodu na wschód, spełnić może wielkie zadanie utrzymania łączności duchowej Polaków osiadłych w Rosji z ojczyzną. Nie wątpimy, że nowy organ prasy polskiej w Cesarstwie chlubnie to zadanie wypełni; upoważnia nas do tej nadziei numer 1-szy *Głosu Polskiego,* zawierający między innemi: poetyczną opowieść *Henryka Sienkiewicza* „Z dawnych dziejów", *Józefa Kotarbińskiego* „Poezja wygnania", mec. *Antoniego Osuchowskiego* „W sprawie naglących potrzeb Macierzy Szkolnej ks. Cieszyńskiego", *J. Dmochowskiego* „Z naszych spraw ekonomicznych", streszczenie barwnego odczytu *Władysława Żukowskiego* o ks. Józefie, wygłoszonego w Petersburgu, p. t. „Historyczne dzieło ks. Józefa Poniatowskiego", mec. *Aleksandra Kraushara* „Przedzgonne chwile Wincentego Niemojewskiego (członka Rządu Narodowego z r. 1831)" oraz szereg pięknych poezji red. *Kwiatkowskiego,* objętych tytułem „Z Dekalogu". Obficie ilustrowany zeszyt kończą korespondencje z różnych dzielnic Polski. Witając nowy organ z całą życzliwością, życzymy mu szybkiego rozwoju w warunkach sprzyjających wypełnieniu w całej rozciągłości ważnej misji kulturalnej szerzenia polskości śród rodaków naszych na obczyźnie.

SPORT i HODOWLA

Z mojego notatnika myśliwskiego.

NIECO O POLOWANIACH NA DRAPIEŻNIKI ZIMĄ.

Ojcowie nasi utrzymywali zawsze, że nigdy las nie przedstawia się wspanialej i nie wywiera tak imponującego wrażenia, jak w sam dzień Nowego Roku. I rzeczywiście, my, którym włosów wprawdzie nie przyprószyła jeszcze siwizna, ale którzy mamy już przecież sporo lat i doświadczeń poza sobą, z młodzieńczych czasów przypominamy jeszcze sobie te ostre zimy, kiedy to śnieg pokrywał drzewa, zbijał się w kryształki i brylantowo migotał w jasny, choć mroźny dzień noworoczny. Obecnie, jak powiada Szekspir, jak gdyby „coś się popsuło w państwie duńskiem", i od kilku lat jak bajki słucha się przeróżnych opowiadań na temat mroźnych zim ubiegłych. A chociaż od dłuższego czasu zimy w Polsce przestały być powabne, i chociaż las ogołocony i pozbawiony śnieżnej pościeli nie przedstawia się tak ponętnie, jak to bywało dawniej, to jednak śmiem twierdzić, że niema takiego myśliwego, który mogąc to zrobić, bodaj na czas krótki nie opuścił ciepłego domowego ogniska i nie udał się w gęstwiny leśne, ażeby się przekonać, jak się zapowiada dalszy okres polowań i co się tam w kniei dzieje. Choćby bez fuzji i bez wyraźnego celu, prawdziwie zawołany nemrod zrobi to z pewnością. Nie ten to urok, jaki bywał dawniej, ale i teraz, choć zimy nasze są przeraźliwie dżdżyste, las przecież od Nowego Roku nabiera prawdziwej krasy zimowej.



Rzadkie trofeum. P. J. Sokołowski z orłem stepowym o rozpięciu skrzydeł 12 stóp, zabitym w Turkiestanie.

Dla zwierząt drapieżnych tego rodzaju deszczowe i wilgotne pory zimowe są nadzwyczaj sprzyjające. Trudno nietylko podejść, ale przedewszystkiem natrafić na ślad szkodników, których tępienie jest konieczne dla całości i dobroci szlachetnego zwierzostanu. Drapieżniki ukrywają się snadnie, a deszcz spłukuje tropy pozostałe po nich, gospodarują one też bezkarnie po lesie, wykryć zaś je zdoła daleko prędzej wypadek, aniżeli pomysłowość najbieglejszego nawet tępiciela szkodników. Tego rodzaju mokre zimy doprowadzić mogą do rozpaczy tych myśliwych, którzy do najmilszych polowań zaliczają oczyszczanie lasów z drapieżników.

I właśnie w taką pierwszą dżdżystą zimę przeżyłem jako 19-letni młodzieniec, który rwał się do fuzji i marzył o zdobyciu choćby jednego trofeum myśliwskiego w postaci wilka, znanego dotąd tylko z menażerji, ogrodu zoologicznego i... obrazków. Marzenie moje miało się wkrótce ziścić, a jak to się stało — opowiem.

MÓJ PIERWSZY WILK.

Było to w roku... et, co tu mówić o latach, dość, że jak już wspomniałem, liczyłem wówczas lat 19-cie i przepędzałem wakacje uniwersyteckie w majątku państwa X. Majątek ten okalał las nawet spory, ale choć w zbrojowni znajdowała się nie jedna doskonała fuzja, oddawana mi chętnie przez właściciela do rozporządzenia, to przecież poprostu nie było na co zapolować.

Ponieważ jednak wrodzona żyłka myśliwska nie pozwalała mi spokojnie przepędzać całych dni w zacisznych pokojach dworku, więc ażeby dać folgę upodobaniom, mściłem się na wronach i srokach. Rzecz oczywista, że taka zabawa myśliwska nie mogła zadowolić ambicji młodego nemroda, prawdziwą też sprawiło mi uciechę dopiero to, gdy po kilku dniach nawinął się pod nogi moje szarak i oczywiście legł, ugodzony strzałem śmiertelnym. Z try-

umfem zaniosłem go do dworu i jakoś od tej pory lepszej nabrałem otuchy, tem więcej, że pan domu, człowiek zartretyzmowany, a więc nie mogący już brać udziału w polowaniach, zapewniał mnie, iż od wiosny aż do zimy w dosyć rozległym lesie dębowym trzymały się całe stada napół zdziczałych świń. Te właśnie świnie i ogromna ilość drapieżników sprawiały, że odczuwać się dawał brak prawdziwie pożytecznej zwierzyny.

Młodzi ludzie powinni zawsze wierzyć w swoje siły i w uśmiech fortuny, mnie zaś uśmiechała się ona tem więcej, że na zabijaniu wron i srok doszedłem do dość znacznej wprawy i pewności oka. Jakże ucieszyłem się też, gdy pewnego poranku stawił się przed dworem konny posłaniec z listem, zapraszającym wszystkich domowników na wielkie polowanie wyłącznie na wilki, które w najbliższej okolicy czynić jakoby miały straszliwe spustoszenia. Pan domu z powodu cierpienia, o czem wspominałem, nie mógł brać udziału w tej uczcie myśliwskiej, że zaś w liście wyraźnie proszono „wszystkich" domowników, więc reprezentowanie naszego dworu przelał na mnie i natychmiast doręczył posłańcowi odpowiedź, zapowiadającą na dwa dni mój przyjazd.

Wyruszyłem tedy w sąsiedztwo, a nie zrażały mnie wcale fatalne drogi, których przebycie równało się istnym torturom. Gdybym po przebyciu czterech mil mógł przy nakładaniu nowego, prawdziwie myśliwskiego odzienia obejrzeć odwrotną stronę swojego grzesznego cielska, to z pewnością odkryłbym tam całe place sińców, powstałych wskutek otłukiwania się o poręcze bryczki.



Mój wilk...

Cóż to jednak znaczy dla 19-letniego młodzieńca! Przecież będziemy mieli polowanie, prawdziwe łowy, urządzone na ogromną skalę! Myśliwych zebrało się tylu, że trudno było zapamiętać nazwiska przedstawianych osób, a już naganiaczy cała armja wyruszyła w pole. Gdy stanęliśmy na właściwych placówkach, owi naganiacze wszczęli tak piekielny hałas, że nam, myśliwym bębenki w uszach mogły popękać, a wilkom—chyba serca ze strachu. Ale wilki to mądre stworzenia, jakby ktoś doniósł im o zamierzonej wyprawie, wszystkie zniknęły nagle, nawet drobnego śladu nie pozostawiając po sobie. Zaproszeni myśliwi po jednym i drugim miocie mocno spuścili nosy na kwintę, i gdyby nie ogromne zapasy bigosu, pieczeni, a zwłaszcza wybornych trunków z odwieczną starką na czele, to kto wie, czy nie łamanoby fuzji w bezsilnej złości. Do zmroku hałasowali i pędzili naganiacze, aż im ochrypły gardła, ale ani jedno wilczątko nie ukazało się bodaj na lekarstwo.

Rozczarowani wracaliśmy do dworu, wynagrodziliśmy jednak sobie nieudane łowy winem i tańcami siarczystymi, trwającymi do późnego ranka. Więc nawet przy takiej szczęśliwej okazji nie powiodło mi się ujrzeć wilka w polu i powalić go celnym strzałem!..

Ale bogini Djana łaskawą okazała się dla swojego młodego adepta; kiedy bowiem po trzech dniach gościny u sąsiada powracałem do domu, nie chcąc tłuc się na bryczce i narażać się na nowe siniaki, tem więcej, że tamte dawniejsze jeszcze się nie zagoiły, kazałem stangretowi jechać wolno drogą, a sam zapuściłem się w las, z natury rzeczy bez żadnego celu, jedynie dla wyprostowania członków. Fuzję nabitą przewiesiłem przez ramię, a pies wierny i dobrze wytresowany trzymał się mojej nogi. W ten sposób doszedłem aż do zagajnika, po za którym rozciągał się wysoki las dębowy. Co mnie tam pociągało, nie umiem sobie wytłumaczyć, droga bowiem nie należała wcale do rozkosznych, zwłaszcza, że ciągnęły się tutaj porosłe trzciną mokradła.

Pies mój zwiesił łeb i zapuścił się w dzikie krzewy, ja zaś bezmyślnie szedłem za nim, nie wiedząc zgoła, dokąd mnie zaprowadzi. Nagle pies przystanął i zawrócił ku mnie z oznakami takiej trwogi, że trząsł się cały febrycznie. Zdumiony zagadkowem zachowaniem się psa, przygotowałem fuzję do strzału i wkroczyłem w gęstwinę trzcinową, z której mój Nero cofnął się tak haniebnie.

Gwizdnąłem na psa, ten jednak nie był bardzo skory by przybliżyć się do mnie, ale ten gwizd dopomógł mi widocznie, gdyż w tej samej chwili potężny wilk wysunął się ze swojego ukrycia i robiąc ogromne susy, pędził trwożnie ku poblizkiemu ba-

gnisku. Wilk znajdował się w odległości jakich 60 kroków odemnie, nie namyślałem się zatem długo i wypaliłem *in optima terma*. Febra myśliwska opanowała mnie z taką siłą, że brnąc po kolana, zapuściłem się w mokradła. Że sam się nie zapadłem pod ziemię, to chyba wola Opatrzności. Ale trudy te opłaciły mi się sowicie, uszedłszy bowiem jeszcze jakieś 160 kroków, ujrzałem mojego wilka, który wprawdzie rwał się jeszcze naprzód, ale musiał się zatrzymywać i wreszcie padł martwy na ziemię.

Z ogromnym trudem niosłem moją zdobycz na brykę, pies zaś jeszcze nawet wtedy zachowywał się z takim respektem, że pomimo gwizdania i zachęty nie chciał się przybliżyć do mnie, a później wołał biedz z daleka od bryczki, aniżeli zasiąść wygodnie u nóg moich.

Kucharz tak się uradował tym wilkiem, że wyprosił sobie u swojego pana, ażeby mógł nazajutrz podać nam *„filets de loup"*. Jakkolwiek być może, iż owa polędwica tworzyła arcydzieło sztuki kulinarnej, to przecież ku wielkiemu zmartwieniu kucharza zeszła nietknięta ze stołu. Jeszcześmy widać, szczęściem nie zeszli na psy, ażeby się żywić psiem mięsem.



Pp. Witold i Karol Wagnerowie po obławie na wilki w Stokach, w gub. Wileńskiej.

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA W PARKU KSIĄŻĘCYM.

Przebywając w ciągu kilku lat na Węgrzech, miałem sposobność uczestniczenia w kilku polowaniach na niedźwiedzie, dwa razy zaś przytrafiło się, że tego olbrzyma leśnego widziałem upadającego pod strzałami dzielnych myśliwych. Pomimo to ani razu nie nadarzyła mi się sposobność spotkania się sam na sam z niedźwiedziem i strzelania do niego.

A przecież, przytrafiło się w końcu, że i ja miałem rozprawę z brunatnym misiem, a był to okaz niezwykłej wielkości. Ten interesujący epizod myśliwski postaram się tutaj w krótkości naszkicować.

W miasteczku J... we wschodniej części Siedmiogrodu, pewnego wieczoru styczniowego zebrało się małe towarzystwo zaproszonych osób w salonie księcia St., który śmiertelnie nudził się w takiej mieścinie i często zapraszał gości na herbatę. Trochę grano w karty, trochę produkowano się na fortepianie, a resztę czasu przepędzano na pogawędce.

Wśród takiej pogawędki zaczęliśmy rozmawiać o rozmaitych przygodach myśliwskich, uprzejmy zaś gospodarz domu przytoczył wypadek, gdy zraniona niedźwiedzica prawie oskalpowała śmiałka, który strzelał; położono ją jednak trupem, a jedno z jej młodych schwytano żywcem. Małe to niedźwiedziątko zabrał książę z sobą i od lat czterech trzyma je w żelaznej klatce. Opowiadanie swoje zakończył książę uwagą, że z niedźwiadka wyrósł nadzwyczaj wielki niedźwiedź, który jednak w ostatnich czasach stał się taki zły, że chyba trzeba go będzie, jako niebezpieczną bestję, zastrzelić.

— Jeżeli książę zdecyduje się na to— zawołał jeden z obecnych — to niech nas zaprosi na polowanie w swoim parku.

Na ten temat potoczyła się rozmowa, wreszcie książę zgodził się na taki żart i za trzy dni zaprosił nas znów do siebie, zastrzegając sobie, ażebyśmy wszyscy stanęli z dobremi fuzjami. Rzecz naturalna, że na oznaczony termin stawili się wszyscy, jak jeden mąż, książę zaś wyznaczył każdemu z nas stanowiska na brzegu gaiku kasztanowego, poza którym znajdowała się klatka z niedźwiedziem.

Nie upłynęło nawet kilkanaście minut, gdy ukazał się nam wspaniały miś, do którego kudłów przyczepił się zawzięty wyżeł. Niedźwiedź walił wprost na mnie, złożyłem się przeto natychmiast, padł strzał — i zwierzę zwaliło się na ziemię. W tej chwili jednak zerwał się znów na nogi i mrucząc

groźnie, w bajecznie szybkiem tempie, pędził w stronę wspaniale urządzonych oranżerji.

Taki zupełnie niespodziewany obrót rzeczy skłonił kilku myśliwych do zmiany frontu, i ogień salwą powitał rozwścieczonego niedźwiedzia, który teraz podniósł się na zadnie nogi i ruszył na napastników. Nareszcie dobrze wycelowana kula powaliła go ostatecznie na ziemię.

Hukowi strzałów towarzyszył jednak niezwykły akompaniament: równocześnie rozległ się brzęk tłuczonych szyb, i dopiero, gdyśmy znaleźli się na placu boju, spostrzegliśmy z przerażeniem, jakie spustoszenie porobiły kule.

Ogromna ilość najszlachetniejszych dracen, wspaniałe egzemplarze „Latonia borbonica“, „Phönix reclinata“ i cały szereg najcenniejszych palm — wszystko to albo zostało zmiecione, albo też uległo okaleczeniu, w dodatku zaś prawie ani jedna szyba nie pozostała cała w oranżerji.

Wprawdzie książę robił *bonne mine au mauvais jeu,* ale chyba nie urządziłby już drugi raz polowania w swoim parku, choćby tam nawet już nietylko niedźwiedź, ale lew się ukazał.

Gustaw Buseck-Busecki.

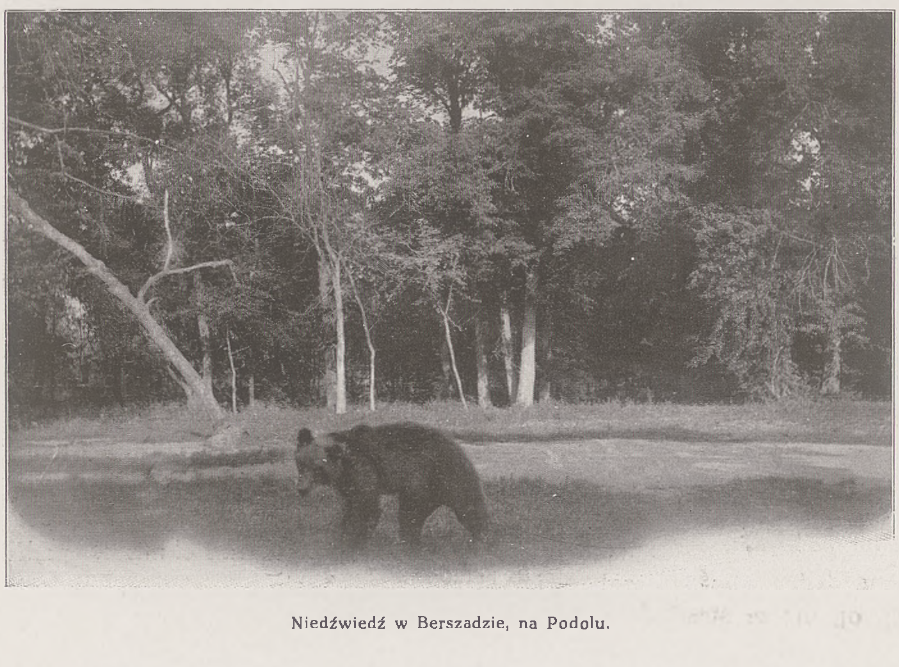
Na ponowie.

Było to w grudniu. Na miękką, niezamarzniętą ziemię padał śnieg i słał ponowę. Każdy trop odznaczał się doskonale. Jest to właśnie taka pora, kiedy zwierz wraca do swego legowiska z nocnych żerowisk. Ciemno jeszcze, ale jaśniejsze chmurki, zwiastuny przedświtu, już się na niebie ukazują, a ciemna noc stopniowo ustępuje przed jasnymi gońcami brzasku. Jeszcze się zmaga opornie, jeszcze się nie daje, lecz w końcu przecież poddać się musi codziennemu wyrokowi natury.

O tej to porze wracał dzik-pojedynek ze starej dąbrowy i na skraju zagajnika zatrzymawszy się — widocznie dumał: Źle dziś... myśliwy będzie miał świeży ślad; będzie mnie niezawodnie tropił... A tu wszędzie już całun śniegu leży. Jestem zupełnie syty, czystą, doskonałą zdrojową wodę piłem i dotąd było wszystko dobrze, lecz teraz...

I ryjem głęboko świeży śnieg rozorał... Niedobra jest ta ponowa... Hen, hen, gdzieś daleko na wsi, zapiał kur jeden, potem drugi, trzeci i dziesiąty. Zaczęły szczekać psy po wsiach, potem zaskrzypiały żórawie studzienne i wierzeje chłopskie, a za niemi uderzyły o klepiska mocne cepy — łup-cup, łup-cup, waliły bijaki, wprawione w ruch miarowy twardą ręką chłopską. Powietrze wilgotne daleko odgłosy te niosło... Dzik ruszył i wszedł w zarośla gęste. Aliści po chwili wytknął nos o jakie sto kroków dalej i uszedłszy jeszcze kawałek drogi brzegiem zagajów, zaczął się wokoło rozglądać.

Tymczasem świtało. Już czas był wielki do legowiska wracać, a on wciąż jakby dumał, przesmyki i stanowiska rozpatrując. Atoli wkrótce musiał się już w gęstwinę zaszyć, gdyż inaczej dzień zastałby go na tem dumaniu. Więc podążył umyślnie krętą drogą, choć znał inną, krótszą, a przyszedłszy do znanego mu mrowiska, mocnym ryjem głęboko je rozorał. Poczem wolno i z całą rozkoszą ułożył się, jakby na królewskiem posłaniu. Teraz dopiero z całą swobodą głęboko odetchnął, a tak donośnie, jakgdyby gdzieś w oddali zagrzmiało. W nasyconem wilgocią powietrzu aż parowało z niego, a on, zaznawszy teraz błogiego spokoju, otoczony ślicznie przybraną w biel świerczyną, zasypiając, śnił sobie. Śniło mu się, że jest w wielkiem swojem stadzie, jak jaki władca w lesie nad wszystkim dzikim zwierzem. Przez całe lato miał soczyste kłęby kartoflane, słodką pszenicę, grykę, owies i posilny groch polny, w jesieni miał smakowitą buczynę i zdrową żołądź — nie miał tylko nigdy spokoju. Wciąż pędzany z miejsca na miejsce, tylko dzięki bystrej swej przezorności uchodził z życiem, choć już kul parę miał w sobie; dawniej, gdy był



Niedźwiedź w Berszadzie, na Podolu.



Ryszard Okniński. Sal. „Sztuka". (Z oryg. fotogr. A. Masłowski). Osaczony odyniec.

młodszy, był i lżejszy, teraz, choć stokroć doświadczeńszy, jednak jest bardziej ociężały. I nie dziw — miał już przecie lat czternaście.

Gromadka sikorek, robiąc przegląd leśny, natrafiła na niego. „Dzik, dzik, dzik, dzik, dzik" — ze zdziwieniem zawołała jedna. „Prawda, prawda, prawda", powtarzały inne, zbierając się wkoło i przypatrując mu się z niezmierną ciekawością. A dzik tymczasem spokojnie chrapał.

„Gdzie, gdzie, gdzie" — darła się znów ciekawa sójka, usłyszawszy te trwożne głosy, a ujrzawszy znienacka takiego wielkiego potwora, zaczęła mu się też z arcytchórzliwą ciekawością przypatrywać. „Wrzeszcz - krzycz, wrzeszcz - krzycz"! zaczęły zaraz wołać inne na swoje towarzyszki, aż dzik się rozbudził. Usłyszawszy atoli, że jest to tylko zwyczajny głupi wrzask sójek, ciągnął dalej swą drzemkę.

Po białym, miękkim śniegu skakała wiewiórka, swawolnica leśna i tuż przy dziku jęła w śniegu nurtować. A co! trafiła przecie na szyszkę świerkową. Dobre i to. Jeszcze z niej wyłuszczyć coś można. Lecz na ziemi, w śniegu, to na nic! Tam właśnie jest jakiś pagórek, więc nim pomyślała — hul, hul, hul, po śniegu i hop! — na dzika. Aliści prawie że jednocześnie — oj, oj, oj, oj, oj! ze strachu zakrzyczała i wypuściwszy z zębów szyszkę, co tchu uciekła na drzewo.

Dzik drgnął, fuknął, uniósł się nieco... Jakieś dziwne mrowie po krzyżu go przeszło. I nie dziwota — tyle razy był już przecie tropiony i goniony na śmierć i życie. Po chwili znów się ułożył, a wiewiórka tymczasem, pomna przestrachu, usadowiwszy się na gałęzi — co - to - co - to — mruczała, wyłupiając swój kiepski wzrok.

W tym samym czasie obchodził wokół zagajniki stary gajowy. Wysoki, nieco pochyły, szerokim pasem opasany, z nieodstępną, starą kapiszonówką na plecach. Na każdy ślad bacznie uważał i przed siebie patrzył i każdy trop z osobna dokładnie badał... Więc co raz to przystawał, rozmyślając sobie. Idąc tak z uwagą, doszedł właśnie do tropów, o które mu głównie chodziło, i zaraz oczy mu się ożywiły i twarz rozjaśniła. Przyglądając się śladom, myślał w duchu: świeżuteńko — jak pisał! Poczem nachylił się jeszcze bardziej i podniósłszy coś, roztarł w palcach, następnie pociągnąwszy z lubością nosem, szepnął uradowany: świeże. I wyjąwszy tabakierkę z za pazuchy, zażywał z ogromnem ukontentowaniem, a starając się jaknajciszej stąpać, udał się już bez słowa dalej.

. . . .

Szerokie, wrębne sanie mknęły po miękkim śniegu, unoszone przez parę rączych koni. W sankach siedział stary gajowy, z dwoma tęgimi ogarami i dziedzic z niezawodną strzelbą. Niedługo jechali, konie bowiem rwały z kopyta. Na migi i szeptem porozumiawszy się przy tropach, rozeszli się wkrótce.

Upłynęło pół godziny, a psów jeszcze nie słychać, ani głosu starego gajowego. Lecz myśliwy, „pan jego“, stał niewzruszenie, bo wiedział, że „stary sługa“ nie na próżno fatygował, a zwleka, bo wszystko urządzić chce, jak należy.

Wtem ozwał się Dunaj pierwszy grubym basem, a za nim Zagraj, głosem nieco ochrypłym. Myśliwy podwoił czujność i wsłuchiwał się z natężoną uwagą, jak gdyby to nie psy, lecz jaka kapela grała. Tymczasem stary sługa zaczął szczuć: huź-go! Dzik ruszył i szedł, jak dziad, wolno, nasłuchując pilnie, gdzie i jakie niebezpieczeństwo mu grozi. Bo przecież zrozumiał, że jest przez człowieka wyśledzony i osaczony... to granie psów znał doskonale... Już dopadały do niego. Na samą myśl, że musi się znów borykać na śmierć lub życie, wzięła go taka złość, że rozjuszony, jął tak psy rozganiać, że niechby mu który dostał się pod kły, popłatałby go chyba na kawały. Psy widząc, że tu nie na żarty idzie, zmykały przed nim, jak szalone, nie doskakując blizko i dopiero dalej przystanąwszy, obejrzały się po za siebie. Tymczasem dzika już widać nie było. Nastąpiła teraz taka głusza, że myśliwemu wszystkie nerwy zaczęły drżeć z emocji. Co, u licha! Czyżby ściął obydwa psy razem? — pytał sam siebie. A przez ten czas psy skradały się znowu z ogromną ostrożnością ku tej czarnej bestji. I nic dziwnego! Przecież za byle krzakiem może stać sobie i tak znienacka wypaść, że śmiercią możnaby zbytnią śmiałość przypłacić. Lepiej więc zwolna i ostrożnie. A dzik tymczasem w swojem poprzedniem miejscu znowu się ukrył, wytykając ryj tylko nieco na zewnątrz. Którędyby iść — dumał sobie i nie wiedział dobrze, co z sobą ma robić, wahał się i namyślał. Wtem trzasnęła gałązka w pobliżu i zaraz tęgi głos głucho zaszczekał. I po chwili: hu-pu, hu-pu! — szczekały już psy zgodnym wtórem. Odnalazły go... Zgrzytnął dzik zębami i wściekły jął głośno chłapać pyskiem. Psy jednak nie ustępowały, więc dzik znów ruszył, lecz tym razem wyciągniętym kłusem. W tej właśnie chwili padł strzał... Dzik zaczął rwać z kopyta, waląc przed siebie na oślep na same stanowisko, gdzie stał myśliwy z gotową bronią do strzału. Psy pędziły za nim. Dzik łamał i tratował wszystko po drodze, a ten jego impet nie dawał mu czasu do namysłu. Z po za starego dębu dwa suche strzały głucho, bez echa palnęły. Dzik rozwarł pysk i dobywając ostatnich sił, jak oszalały pędził. Aż mu oczy krwią zaszły, aż się płuca rozdymały... Lecz gdy przebiegł tak ze sto kroków, nagle w oczach mu pociemniało, a nosem zaczęła się sączyć krew z pianą... siły go opuszczały... Chciał jeszcze raz rzucić się naprzód, lecz tylko głucho, głęboko stęknął i zwalił się na biały, puszysty śnieg. I przez jedną małą chwilę jeszcze mu się zdawało, że ucieka szczęśliwie, a tymczasem leżał już na białym śniegowym kobiercu. Wówczas dopadły go psy i jęły rwać za kudły; a on leżał olbrzymi, z krwawą pianą w pysku i z głęboką raną, zabarwiając czerwoną posoką biały całun śniegu. Śnieg topniał wkoło, a z niego aż parowało. Wkrąg stały zielone świerki, przybrane w biel— nieme świadki rozkoszy życia i śmierci.

Wtem z zesuniętą czapką w tył stanął zwycięzca-myśliwy. Wielki zapał z oczu mu bił i zadowolenie głębokie. — Hop-hop! — z całych sił krzyknął. — A bywaj-że tu, by-waj!

Wkrótce stanął i stary gajowy. I on też radością jaśniał, a wzrok szczęściem mu płonął.

— A, nareszcie jesteś! — mówił, dochodząc. — Ile ja dróg za tobą zrobiłem, ile butów zdarłem... zawsześ mi się wymykał, a tu jesteś! I kule moje nosisz i dwa naboje loftek... nie chciałeś mi się wywracać, oj, nie chciałeś!.. A w pole-ś mnie nieraz wywodził... hej, hej! Zagram ci tylko jeszcze dzisiaj na ostatku na swojej kniejówce i potem po-wie-ziem cię sanną drogą do dworu.

Tak przemawiał stary gajowy do leżącego dzika, a zwracając się do swego pana, mówił dalej:

— Kiedym zmiarkował, że jest on jucha wykręcony rychtyk do wielmożnego pana, wtedym mu huknął nadełbem, aby go popchnąć prosto pod nogi pana dziedzica. I tak się też stało. Twarda była bestja...

Mieszko z Podlasia.

KRONIKA SPORTOWA.

Z torów i hodowli.

□ Dnia 13 b. m. zamknięte zostały zapisy koni w warszawskiem Tow. Wyścigów Konnych do Wielkiego handicapu 1.500 rb., do Powszechnego handicapu 2.000 rb., do derby 1915 r., do nagród Przychówku r. 1915 i 1916 im. L. Grabowskiego, do Produce'u na r. 1916 i 1917.

□ W Austro-Węgrzech w r. z. na wyścigach konnych najwięcej wygrał V. v. Mautner, koron 683,040, następnie bar. G. Springer 503,010 i W. ks. Lubomirski (9-te miejsce) 162.905 k. Z koni wygrał najwięcej „Miczi“ 165.800 następnie „Mokan“ 143.250. „Mości Książę“ 109.350, „Csardas“ 100.000. Pozatem ze stajen polskich wygrały „Bartek“ 94.940, „Łom“ 47.805 kor.

□ W Niemczech najwięcej wygrał bar. v. Openheim 935.390 marek, następnie A. i C. Weinbergowie 511.190, R. Hanieb 402.280 m., W. ks. Lubomirski (11-te miejsce) 115.800 m. Z koni wygrały najwięcej „Csardas“ 199.000 m., następnie „Majestic“ 190.000“, Turmfalke“ 112.900, „Mości Książę“ (6-te miejsce) 75.800 marek.

□ W r. z. w Petersburgu na wyścigach najwięcej wygrali E. i M. Łazarewowie bo 110.274 rb. Z kolei wygrali: L. Mantaszew 79,556, E. v. Grimm 21.438. Pozatem wygrali F. Jurjewicz i A. hr. Wielopolski 17.975, stajnia rząd. Janowska 10.783, L. Rybicki 9.157, L. Hryckiewicz 8.135, W. ks. Lubomirski 6.078, Spółka Warszawska 5.596, A. Daszewski 4.570, F. Podgórski 3.748, W. Pankiewicz 3.030, J. Lewicki 2.701, L. Andrycz 2.609 rb.

□ W r. z. w Niemczech było w treningu 2300 koni, rozegrano przeszło 2400 wyścigów, rozdano 5.500.000 rb. nagród; startów było około 18.000. Co do wysokości nagród Niemcy zajmują trzecie miejsce po Francji (6.773.126 rb.) i Anglji (5.780.786 rb.). Nagrody Austro-Węgier uczyniły 2.639.204 rb. „Studbook“ niemiecki — wedle „Sportwelt“ obejmuje 973 klaczy, angielski 5507, francuski 3685, austro-węgierski 1570, rosyjski 1280, belgijski 428.

Lotnictwo.

□ Liga narodowa lotnicza francuska postanowiła wyasygnować 10.000 fr. jako stałą nagrodę roczną za największą szybkość na aeroplanie.

□ Medale Akademji sportowej francuskiej otrzymali w r. z. lotnicy Brindejonc des Moulinais, Prévost, Pégoud, Rumpelmayer i pani Dylock Workman.

□ Liczba naśladowców Pégouda wzrosła już do 20.

□ Lotnik francuski, Bonner ukończył swoją podróż napowietrzną z Paryża do Aleksandrji.

□ Francuski lotnik Didier Masson oddał się na usługi powstańców w Meksyku, śledząc z latawca pozycje nieprzyjacielskie i rzucając bomby. Pewnego razu jednak podczas lotu zabrakło Massonowi benzyny i musiał wylądować na polu nieprzyjacielskiem. Schwytano go i postawiono przed sąd wojenny, z którego wyroku został rozstrzelany.

Łowiectwo.

□ Na polowaniu u pp. Wyganowskich w kaliskiem w majątkach: Pietrzykowie, Kamieniu, Zbiersku, Petrykach, Złotnikach Wielkich, Małych, Górach i Stawkach padło ogółem 2020 sztuk zajęcy, kuropatw i bażantów. W sezonie letnim padło z podjazdu 36 rogaczy.

□ W dobrach Ksaw. hr. Branickiego odbyły się następujące polowania: rewir Kabaty, przy udziale 14 myśliwych, zabito 298 zajęcy, 11 rogaczy, 72 koguty bażancie i 1 kuropatwę. Wilanów i Wolica, przy udziale 12 myśliwych zabito 134 zające i 63 kuropatwy. Wawer-Anin, w 14 strzelb zabito 81 zajęcy, 2 rogacze i 1 lisa.

□ W dominium Broszków gub. siedleckiej, p. Franciszka Buyny odbyło się trzydniowe polowanie w 11 strzelb. Ogółem padło 326 sztuk zwierzyny, w czem 2 lisy, 288 zajęcy, 30 kuropatw i 6 różnych.

□ U pp. Orsettich w Szczakach odbyło się polowanie, na którem zabito kilkadziesiąt zajęcy, 18 kuropatw i 2 kozły. Pogoda była bardzo niesprzyjająca.

□ W majątkach p. Targońskiego, Mosty i Dubów w pow. włodawskim odbyło się polowanie w 10 strzelb. Przy fatalnej pogodzie zabito: 4 dziki, 3 rogacze, 148 zajęcy, 24 kuropatwy i 2 lisy.

□ W Szlubowie w pow. przasnyskim u p. Zygmunta Choromańskiego na polowaniu d. 13 b. m. w 15 strzelb zabito: 96 zajęcy, 8 kuropatw i 1 lisa.

□ Odbyło się polowanie pod Lublinem w majątku p. Berneka. Zabito 178 bażantów, 26 zajęcy i 18 królików.

Kolarstwo.

□ Słynny cyklista francuski Berthel rozpoczął w tych dniach próby na nowym rowerze „ciclo-torpedo“ pomysłu lotnika Varila. Forma torpedy doskonale sprzyja przecinaniu powietrza, którego opór podczas biegu zmniejsza się do minimum. Oto wyniki osiągnięte przez Berthela na torze welodromu zimowego w Paryżu. Nowe rekordy światowe; 1) Kilometr (w biegu) 1 m. $2\frac{1}{5}$ sek. (dawniej Dupré 1 m. $10\frac{3}{5}$ s.), 2) 2 kilometry: Berthel 2 m. $23\frac{1}{5}$ s. (dawniej Verlinder 2 m. 42 s.). 3) 3 kilometry: Berthel 3 m. $31\frac{4}{5}$ s. (dawniej Seigneur 4 m. $1\frac{1}{5}$ s.). 4) 4 kilometry: Berthel 4 m. 40 s. (dawniej Egg 5 m. $25\frac{2}{5}$ s.). 5) 5 kilometrów: Berthel 5 m. $47\frac{4}{5}$ s. (dawniej Shersted 6 m. 51 s.).

□ W paryskim welodromie zimowym, którego tor ma 250 metrów, ukończono w niedzielę wieczorem wyścig sześciodniowy. Do startu stanęło dwadzieścia osad, każda złożona z dwu jeźdźców, celownik zaś po sześciu dniach mijało 10 osad, które przebyły jednakową przestrzeń 4,228 kilometrów 950 metrów w ciągu 144 godzin.

„Tir aux pigeons“.

□ Podczas standu obecnego sezonu w Warsz. Kole Sportowem każdego dnia otwarcia standu rozgrywana jest na zwykłych standach pula o puhar honorowy, który staje się własnością strzelca, mającego najwięcej wygranych pul.

Ceny warzyw.

□ Komisja warzywna przy Tow. Ogr. w Warsz. komunikuje nam następujące maksymalne ceny targu warzywnego w Warsz.: za pud brukwi k. 25, buraków k. 30, cebuli r. 1.60, chrzanu r. 3.80, czosnku r. 3.20, fasoli suchej r. 3.40, grochu łuskanego r. 2.60, kalarepy k. 35, kapusty białej k. 40, brukselki czyszczonej r. 4.50, kap. czerw. kopa r. 4 i kap. włosk. r. 3.30, marchwi pud. k. 25, pietruszki korzeniowej krótkiej r. 2, pietr. korz. długiej r. 1.20, porów k. 90, rzepy k. 35, szpinaku r. 1.60, ziemniaków k. 50, kopa kalafiorów gat. II r. 7.50, gat. III r. 4.50, selerów r. 4. Tendencja średnia.

Warunki prenumeraty dwutygodnika „WIEŚ i DWÓR“ łącznie z dodatkami „Sport i Hodowla“:

W Warszawie z odnoszeniem do domu:
rocznie rb. 10.— półrocznie rb. 5.— kwart. rb. 2.50

W Królestwie i Cesarstwie z przes. pocztową:
rocznie rb. 12.— półrocznie rb. 6.— kwart. rb. 3.—

Za granicą i za oceanem z przes. pocztową:
rocznie rb. 14.— półrocznie rb. 7.— kwart. rb. 3.50

Cena pojedyńczego zeszytu **60** kop., z przesyłką i na stacjach kolejowych **75** kop.

Prenumeratę na **„Wieś i Dwór“** przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie, biura dzienników w kraju i zagranicą i Redakcja **„Wsi i Dworu“, Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.**

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem:		W tekście między działami:		Po tekście:	
1 strona	rb. 120	1 strona	rb. 150	1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 80	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 45	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 25	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 15	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 200 rb. Ogłoszenia na specjalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną należy adresować:
Redakcja „WIEŚ i DWÓR“ ul. Marszałkowska 129 w Warszawie.

Redaktor: **Wacław Rogowicz.** Współredaktor: **Walenty Zieliński.**
Wydawcy: **Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka.**

Papier kredowy z firmy LEWINSOHN i SCHAUB w Petersburgu.

Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka. Warszawa, Marjensztadt 16.

KOBIERCE STAROŻYTNE

WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 150



ISPAHAN STAROŻYTNY

(WIEK XVIII)

BOGUSŁAW HERSE

DYWANY WSCHODNIE KOBIERCZYKI KILIMY

Import własny
Zakup bezpośredni
Ceny nizkie
Bogaty wybór.

Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.